NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 6 listopada 1909. Nr. 45.

Rewolucya wojskowa w Grecyi.

(Treść na str. 2)



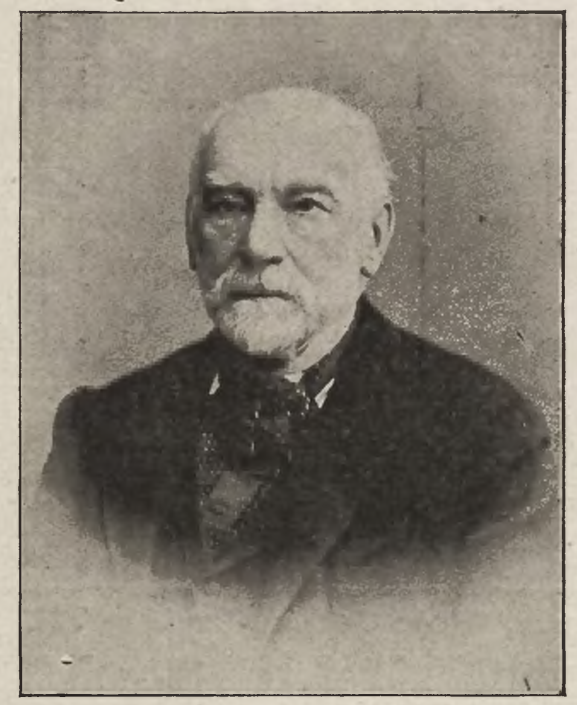
Nr. 45. „Nowości illustrowanych" zawiera: Nowy kościół w Krakowie. — Dla katedry wawelskiej. — Goście z Chorwacyi w Krakowie. — Z życia amerykańskiego. — Groźna epidemia wśród Murzynów. — Rozrywki młodzieży w Warszawie. — Jubileusz kapłana. — Zgon weterana Radeckiego. — Zamordowanie japońskiego dyplomaty.

☞ Dni Słowackiego we Lwowie. ☜

Rewolucya wojskowa w Grecyi.

(Do illustracyi tytułowej).

Ledwie zdołało przebrzmieć echo pokojowej rewolucyi w Atenach, wybuchłej z początkiem września, aż oto znowu w ubiegłym tygodniu poczęły nadchodzić wieści z Aten o nowem wzburzeniu w szeregach oficerów marynarki.



Dni Słowackiego we Lwowie: Prof. dr. Antoni Małecki, honorowy prezes zjazdu historyczno-literackiego.

Już rewolucya wrześniowa miała piętno wybitnie wojskowe i kierowana była przez ligę wojskową, która postanowiła siłą przeprzeć szereg swych żądań, obejmujących postulaty takie, jak usunięcie z armii członków domu królewskiego, oddanie dowództwa nad armią oficerom zdolnym i wykształconym, usunięcie z armii oficerów, nie mających żadnych szkół i wiele innych postulatów, związanych z całym programem reform wojskowych, proponowanych przez ligę.

W łonie samej ligii, po ustąpieniu dawnego gabinetu Rallysa, nastąpiło pewnego stopnia uspokojenie. Postanowiono dać parlamentowi czas na zastanowienie się nad postulatami ligi i na ich uchwalenie.

Wielu młodych oficerów z bólem musiało patrzeć na niedawną kapitulacyę rządu greckiego w sprawie kreteńskiej, na kapitulacyę, która była tem boleśniejsza, że zostały zawiedzione odwieczne nadzieje Kreteńczyków, iż Grecya wyciągnie nawet miecz z pochwy w ich obronie. Ta klęska dyplomacyi greckiej, która wobec militarnej przewagi Porty musiała wyrzec się ostentacyjnie wszelkich aspiracyi do Krety, była bodźcem dla korpusu oficerskiego, aby rozpocząć walkę z rządem nieudolnym i niedbającym o postawienie siły militarnej Grecyi na jak najwyższym stopniu gotowości i sprawności wojennej.

I oto, gdy organizacya administracyi marynarki zaczynała kuleć, występuje niejaki Typaldos, kapitan okrętu, człowiek egzaltowany, który wmawia w swych kolegów, że jedynie on, jako minister marynarki, zdoła przeprowadzić reorganizacyę marynarki, która postawi grecką flotę wojenną na wymarzonej wyżynie. Postawił on *ultimatum* i w razie niespełnienia żądań zagroził zaatakowaniem floty.

Zbuntowane torpedowce ruszyły istotnie nazajutrz przeciw wiernym królowi pancernikom i pod Salaminą padły pierwsze strzały. Po krótkiej wymianie strzałów, trwającej około 20 minut, torpedowce odpłynęły na pełne morze.

Typaldos widząc, że większa część floty wystąpiła przeciw niemu, umknął i jak wieść niesie, znajduje się już w bezpiecznem miejscu. Reszta komendantów i marynarzy zbuntowanych poddała się następnie władzy.

Rycina tytułowa przedstawia epizod z walki zbuntowanej floty z pancernikami koło arsenału marynarki w Atenach.

Dni Słowackiego we Lwowie.

Po uroczystościach jublileuszowych na cześć Słowackiego, urządzonych w Krakowie, odbył się obchód jubileuszowy we Lwowie. O ile obchód krakowski, blady, ceremonialny i zimny, przeszedł bez wrażenia, o tyle lwowski był wspaniałą, potężną manifestacyą narodową na cześć „Króla Ducha", był hołdem szczerym i serdecznym, złożonym przez całe społeczeństwo nieśmiertelnemu Wieszczowi.



Dni Słowackiego we Lwowie: Przemówienie prof. dr. Hahna podczas uroczystości jubileuszowej przy kamieniu węgielnym pod pomnik Wieszcza. Fot. M. Münz, Lwów.

Przez trzy dni trwały uroczystości jubileuszowe we Lwowie. Rozpoczęły się w piątek przed południem inauguracyjnem posiedzeniem zjazdu historyczno literackiego w sali ratuszowej. Przybyli na nie prócz wszystkich wybitniejszych literatów i historyków literatury polskiej z wszystkich trzech zaborów, prócz przedstawicieli narodu czeskiego i chorwackiego, księża arcybiskupi Bilczewski i Teodorowicz, ks. biskup Bandurski, dalej namiestnik dr. Bobrzyński, marszałek hr. Badeni, członkowie rady miejskiej z prezydentem na czele, rada szkolna kra-



Dni Słowackiego we Lwowie: Grono uczestników zjazdu historyczno-literackiego. Fot. M. Münz, Lwów.

jowa, delegaci całego szeregu najpoważniejszych instytucyj.

Po przemówieniach powitalnych wiceprezydenta dra Rutowskiego i prof. dra Bruchnalskiego, powołano na honorowego prezesa zjazdu prof. dra Małeckiego, na rzeczywistego zaś prezesa prof. dra Kallenbacha. Nastąpiły przemówienia reprezentacyjne, a następnie szereg referatów, które wraz z dyskusyą zajęły dalsze posiedzenia w piątek popołudniu i sobotę.

Kulminacyjnym punktem obchodu była uroczystość niedzielna. Miasto całe przybrało na ten dzień odświętne szaty, domy przyozdobiono flagami o barwach narodowych, okna nalepkami z podobizną Słowackiego. Ruch ogromnie ożywiony w całem mieście zdradzał, że dzień to święty, dzień uroczysty. A nie było to święto pewnych tylko, wybranych sfer, lecz święto powszechne. Cały Lwów składał hołd poecie, cały ukorzył się przed majestatem jego wielkości.

Na wstępie odprawiono we wszystkich świątyniach uroczyste nabożeństwa. Najokazalej wypadło nabożeństwo w kościele archikatedralnym, gdzie mszę św. odprawił ks. arcybiskup Bilczewski, a kazanie podniosłe wypowiedział ks. biskup Bandurski.

Pod koniec nabożeństwa poczęły się w około katedry i na przyległych ulicach gromadzić nieprzejrzane tłumy ludności ze wszystkich sfer. We wszystkich kierunkach, na wszystkie strony przewalały się ludzkie gromady, a wśród nich wspaniałe kontusze, chłopskie siermięgi i mundurki szkolnej młodzieży, a nad nimi barwne sztandary, wieńce, wstęgi. Udział uczestników w tym pochodzie hołdowniczym tak był olbrzymi, że nawet tym, którzy już na tyle podobnych pochodów patrzyli, trudno się było oprzeć wrażeniu czegoś prawdziwie imponującego, nietylko mnogim rozmiarem, ale jednością myśli. Uroczystość była istotnie powszechna i ogólna.



Dni Słowackiego we Lwowie: Delegacye robotnicze. Fot. M. Münz, Lwów.

Przez dwie godziny waliło to morze głów z pod katedry ku teatrowi. To też niepodobna wyliczać poszczególnych korporacyj, które w nim udział wzięły.

Pod teatrem pochód się rozwiązał, a uczestnicy gromadzili się zwartem kołem na obszernym placu, otaczając miejsce przeznaczone na pomnik Słowackiego i trybunę obok się wznoszącą. Szereg przemówień rozpoczął prof. dr. Hahn, poczem przemawiali wiceprezydent dr. Rutowski, red. Tad. Jaworski z Poznania, dyr. Heller i p. Walewski imieniem teatru, Janina Świętochowska imieniem Krzemieńgo i dr. M. Wyrostek imieniem partyi robotniczej.

Następnie odbył się w teatrze miejskim poranek uroczysty, który zgromadził również bardzo liczną publiczność.

Wspomnieć jeszcze należy, iż pamięć Słowackiego uczciła także rada miasta Lwowa, na osobnem, uroczystem posiedzeniu, oraz miejski teatr pod dyrekcyą p. Hellera, dając cykl przedstawień z dzieł nieśmiertelnego poety. Przedstawienia te stanowić będą jedną z najpiękniejszych kart działalności obecnej dyrekcyi lwowskiego teatru.

Budowa nowego kościoła w Krakowie.

W roku bieżącym rozpoczęli OO. Jezuici budowę nowego kościoła pod wezwaniem Serca Jezusowego, przy ul. Kopernika w Krakowie. Autorem projektu nowej świątyni jest znany architekt krakowski p. Mączyński.

W ubiegły poniedziałek, w dniu Wszystkich Świętych, dokonał ks. biskup Nowak w otoczeniu duchowieństwa uroczystego poświęcenia kamienia węgielnego nowej świątyni. Prócz mieszkańców tej



Dni Słowackiego we Lwowie: Deputacye włościańskie z wieńcami. Fot. M. Münz, Lwów.



Dni Słowackiego we Lwowie: Fragment pochodu uroczystego. Fot. M. Münz, Lwów.



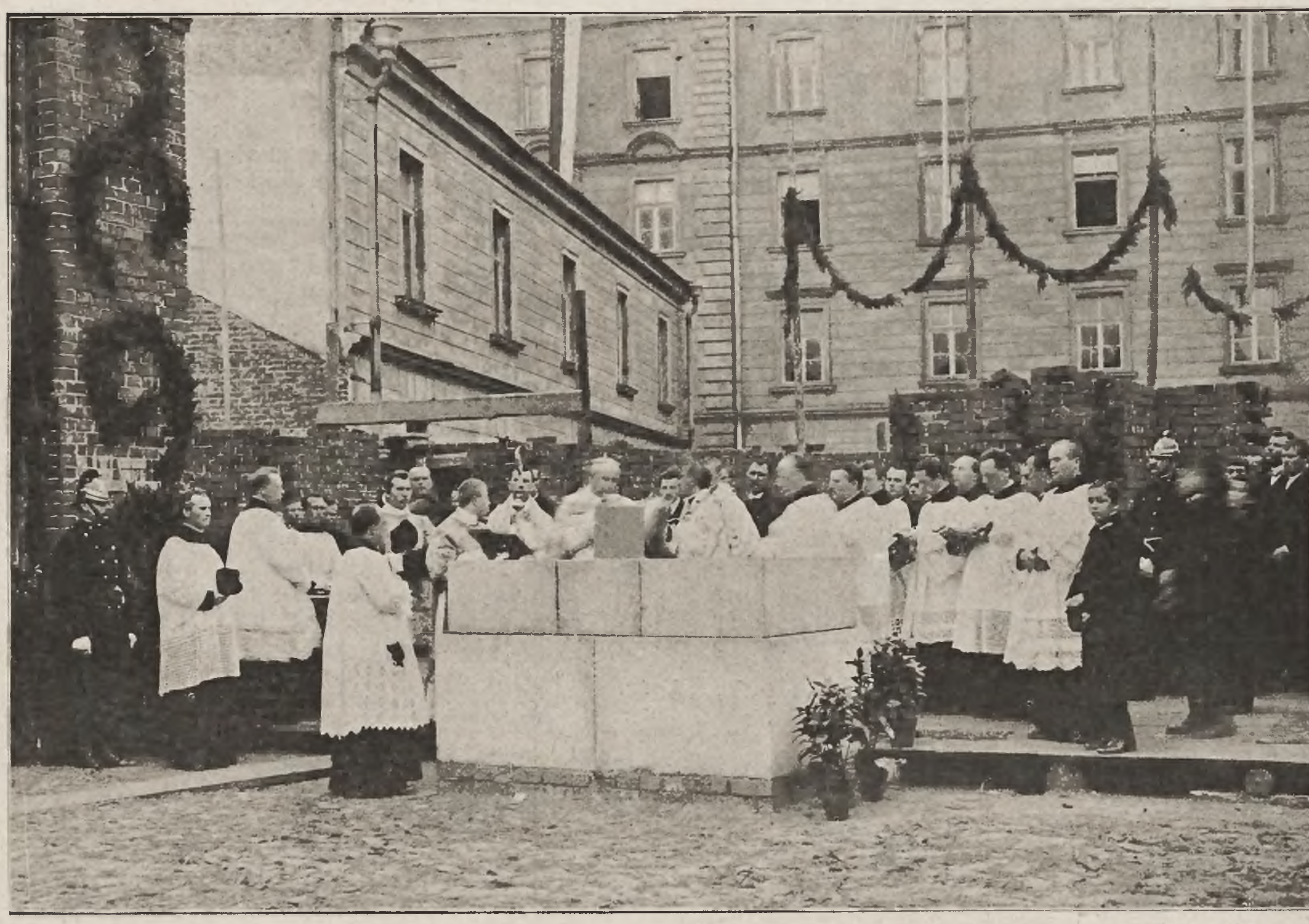
Jubileusz kapłana: Ks. Juliusz Boczkowski.

dzielnicy miasta, przybyli na uroczystość przedstawiciele władz rządowych i autonomicznych, oraz wojskowości.

Uroczystość odbyła się w obrębie wznoszących się już murów, gdzie ustawiono prowizoryczną kaplicę i ambonę. Po odczytaniu aktu fundacyjnego przez ks. Midocha T. J., poświęcił ks. biskup Nowak kamień węgielny, a następnie odprawił mszę św. i wygłosił kazanie do zebranego ludu.

Budowa nowego kościoła ma trwać około 4 lat, a kosztować będzie milion koron.

Z uroczystości tej zamieszczamy w dzisiejszym numerze dwa zdjęcia.



Budowa nowego kościoła w Krakowie: Akt poświęcenia kamienia węgielnego.

Rozrywki młodzieży warszawskiej.

Dzień wolny od zajęć (galówka) i piękna pogoda w poniedziałek ubiegły dały możność zrobienia różnym szkołom przyjemnych i pożytecznych wycieczek.

Między innymi, uczniowie szkoły W. Wróblewskiego, w liczbie 86, pod wodzą p. Edmunda Nebla, odbyli wycieczkę pieszą do Morysinka gdzie podzieleni na 2 obozy, zabawiali się wyszukiwaniem i otaczaniem przeciwnego obozu za pomocą oddziałów wywiadowczych i cichych podejść.

Zadrzewiony Morysinek był doskonałym terenem walki, w której bronią była karność, spryt, energiczne skradanie się i wiele ruchu.

Po 6-godzinnej, zapalczywej gonitwie z krasą na bladych zazwyczaj licach, wróciła młodzież w mury miasta, okrzykiem „czołem!“ dziękując swemu „naczelnikowi“ za chwile wesołe.

Marsz dzielnej młodzieży czwórkami przez ulice Warszawy budził wśród przechodniów szczery zachwyt; jeden moment z tej wycieczki (na pl. Trzech Krzyżów) przedstawia nasze zdjęcie.

Jubileusz kapłana.

Rzadki dziś jubileusz, pięćdziesięciolecie kapłaństwa, święcił przed kilku dniami w Krakowie ks. Boczkowski.

Jubilat mniej jest znany w Krakowie i Galicyi, ponieważ pochodzi z Królestwa i tam spędził prawie całe swe czynne życie. Urodzony 1835 r. w rodzinnym majątku w sochaczewskiem pod Warszawą, ukończył seminaryum OO. Misyonarzy i po przyjęciu święceń kapłańskich został wikaryuszem w Żychlinie, a potem w Grodzisku.

Pierwsze probostwo objął w Lubochni, skąd po 15 latach przeniósł się do Bolimowa, poczem powrócił znowu do Lubochni. Po pewnym czasie jednak, z rozporządzenia władz rosyjskich, przeniesiony został do Mazewa w dekanacie Łęczyckim i tam spędził kilkanaście lat, pracując z całem poświęceniem dla dobra powierzonych swej pieczy owieczek.

Wszyscy ci, którzy w ciągu długoletniej działalności duszpasterskiej ks. Boczkowskiego, mieli sposobność z nim się zetknąć, cenili w zacnym kapłanie jego wielki patryotyzm, przywiązanie gorące do wiary ojczystej, a nadewszystko gorliwość i poświęcenie w pracy nad ludem.

Sterawszy tą pracą swe zdrowie, zmuszony był opuścić posterunek, i osiadł w Krakowie. Tu żyje zacisznie, oddawszy się wyłącznie służbie Bożej. Codzienne nabożeństwa odprawia w kościele OO. Reformatów, tam też odbyła się uroczystość jubileuszowa.

Do życzeń, które z wielu stron nadeszły na ręce czcigodnego Jubilata, dołączamy nasze: *Ad multos Annos.*



Budowa nowego kościoła w Krakowie: Przed ołtarzem ks. biskup Nowak, na prawo wśród publiczności delegat namiestnictwa Fedorowicz (X).

PAUL d'IVOI.

SZPIEG X 323.

10 (Ciąg dalszy).

Jakież dziwne jest jednak zachowanie tego Niemca? Chodzi dokoła studni z głową pochyloną na dół. Nagle zatrzymuje się i schyla. Cóż to znowu? Dolatuje jakiś dźwięk metaliczny... Widocznie zmysły mnie zwodzą. Nowy dźwięk, również mało zrozumiały jak i pierwszy, zwiększa mą niepewność. Zdawać się mogło, że to szum spadającej wody. Aha! więc studnia ta posiada zwykły spust, którym można manewrować na wierzchu? a klucz hydrauliczny zastępuje tajemnicze zaklęcie? W ten sposób tłómaczy się legenda cyganki. Dzieło inżyniera, ludowa wyobraźnia przypisała szatanowi, a raczej okrutnemu Maurowi, który dla zabobonnych Hiszpanów stał się wcieleniem dyabła. Lecz w takim razie dokąd prowadzą te żelazne klamry wewnątrz studni?... Na to nie mogłem dać sobie odpowiedzi.

Hrabia stał obecnie nieruchomo. Co jakiś czas pochylał się nad obmurowaniem, skąd dochodził szmer płynącej wody. Trwało to mniej więcej dziesięć minut. Co chwila szeptał do siebie, jakby rozmawiał lub tłómaczył się swemu wspólnikowi. Pan Koerlitz musiał bardzo nalegać.

— Jeszcze chwilę... Tego wieczoru zakończę już tę sprawę!... A czy skończę?... Tak, tak... Ani on, ani nikt nie powinien domyślać się mego podstępu... Hrabia Holsbein Litzberg wyprowadza w pole tych, którzy chcą tryumfować nad nim...

— To o X 323, pomyślałem... Niestety, hrabia się myli... Jego przeciwnik wie i ja również.

Znowu opanował mnie niepokój:

— Dlaczego niema X 323?

Co go wstrzymało?

Przyszła mi potem do głowy pochlebna myśl:

— I powiedzieć tylko, że pokój Europy zależy od mej zręczności i szczęścia! Z nastaniem dnia tajemny dokument albo pojedzie do Berlina, albo pozostanie w kieszeni niezwykłego korespondenta *Timesa*, jakim ja jestem!

Człowiek obdarzony jest zarozumiałością, której nie pozbywa się nawet z nastaniem późniejszego wieku. Jedna z oznak tego przesadnego zaufania w siebie polega na mierzeniu wszystkiego i ocenianiu własną skalą. Tak naprzykład w tym wypadku przypuszczałem tylko dwie alternatywy. A jednak cała masa wspomnień powinna mnie przestrzedz przed tego rodzaju uogólnieniami. Ileż już razy stwierdziłem z własną szkodą, że gdy umysł mój przyjmował za możliwe tylko takie warunki, okoliczności wytwarzały inne jeszcze możliwsze.

Hrabia pochylił się po raz ostatni nad brzegiem studni, poczem szepnął:

— Poziom obniżył się dostatecznie... Cudowny jest ten stary, zapomniany przyrząd... Nikt go nie pamięta... A teraz do czynu... Za dwadzieścia minut woda powróci... Ciekawi, którzyby się tu znaleźli, znajdą dla siebie drogę zamkniętą.

Dojrzałem wyraźnie ruchy jego, pełne zadowolenia. Potarł energicznie rękami. Potem zgiął się ku ziemi i ciszę przerwał brzęk zupełnie podobny do pierwszego. Jednocześnie ustał szmer wody. Wszystko mi się teraz wyjaśniło. Hrabia zamknął poprostu spust, którym woda odpływała do jakiegoś zbiornika. Wyprostował się i wszedł na ocembrowanie.

Doskonale... Moje przypuszczenia sprawdzają się. Po żelaznych klamrach chce spuścić się na dół. Nie jest to nic trudnego i każdy może to uczynić z wszelką łatwością. Lecz dokąd on zmierza? W głębi niema zapewne więziennego buduaru dla pięknej dziewicy z legendy, lecz cóż w takim razie tam jest? Trochę cierpliwości panie Trelam! Za chwilę będziemy wszystko wiedzieli, nie oprzemy się bowiem chęci poznania tej studni do gruntu.

Hrabia skrył się już we wnętrzu. Należało ruszyć w ślad za nim, choćby szedł on aż do wnętrzności ziemi, jak wyrażają się geologowie. Opuściłem kryjówkę nie bez pewnych jednak podrapań od gałęzi i zbliżyłem się po cichu do studni. Rzuciłem ostrożne spojrzenie do środka. Nie było nikogo. Hrabia znikł, lecz woda, która przy mojem tu przybyciu znajdowała się dość wysoko, teraz padła niżej, odkrywając wąski otwór w murze. Mimo ciemności znaczył się on czarniejszą jeszcze plamą. Oczy moje, przyzwyczajone już do zmroku, rozróżniały dość łatwo szczegóły. Tędy widocznie przeszedł hrabia i tędy w takim razie winienem ruszyć za nim. Przełożyłem już nogę przez mur, gdy nagle wstrzymałem się. Nie chciałem opuścić żadnej drobnostki w tej nocy, tak obfitej w przygody. Nie dosyć widzieć, należy i wiedzieć. W jaki sposób mój przyszły teść otrzymał tak niski poziom wody? Przypuszczałem, że istnieje do tego jakiś klucz, chciałem to jednak stwierdzić. Niejeden może zdziwi się, że zatrzymuję się nad takimi drobnostkami, lecz odpowiem na to, iż właśnie z nich składa się badanie reporterskie. Zaniedbanie choćby najdrobniejszych szczegółów, przeszkadza do całkowitego ujęcia i wyjaśnienia grupy faktów.

Zapamiętałem miejsce, w którem hrabia nachylił się i manewrował coś w trawie rękami. Ponieważ szmer wody ucichł właśnie przy tym jego ruchu, zacząłem tu szukać. Prawie natychmiast znalazłem rączkę klucza w formie litery T, jakiego zazwyczaj używa się przy narzędziach hydraulicznych. Spodziewałem się tego, przyjemnie mi jednak było obecnie, iż stwierdziłem słuszność swych domysłów. Moje pojmowanie istotnej treści legendy cyganki stawało się coraz prawdziwszem.

Nie czas jednak było na rozmyślania, należało spieszyć się za hrabią. Przeszedłem też zaraz przez obmurowanie i po klamrach spuściłem się na dół. Nie omyliłem się i tym razem, gdyż rzeczywiście był wybity w ścianie wąski otwór, przez który dojrzałem w głębi kilka schodów. Naliczyłem ich tylko trzy, reszta bowiem ginęła gdzieś w ciemnościach... Nie dochodziło tam żadne światło i mrok panował zupełny. Domyślałem się, że te schody muszą ciągnąć się w górę i przewyższać zwykły poziom wody w studni. Było to nawet konieczne, gdyż w przeciwnym razie miejsce, do którego można było tą drogą dojść i w którym spoczywał ukryty dokument z *Foreign-Office*, byłby zalany wodą.

Nadsłuchuję, nie dochodzi mnie jednak żaden szmer. Zjawiła mi się wtedy myśl, czy przypadkiem hrabia nie poznał, że jest śledzony i nie oczekuje mnie w ciemnościach, aby... Tem gorzej dla mnie! Gdy się schodzi do studni, by zdobyć prawdę i zapewnić pokój Europy, nie można tam spodziewać się posłania z róż. Jeżeli zostanę tam napadnięty i zabity, będę przynajmniej ofiarą sprawy, za którą warto było się poświęcić.

Macając rękami po ścianie, czem wskazywałem sobie drogę, wstąpiłem na schody. Naliczyłem dwadzieścia siedm stopni... Rachując każdy po dwadzieścia centymetrów, to jest biorąc zwykłą wysokość schodów w nowoczesnych domach, doszedłem do przekonania, że podniosłem się w górę na pięć metrów, czterdzieści centymetrów. Woda prawdopodobnie nigdy nie sięga tak daleko. W miejscu tem schody nagle się zakończyły i teren stał się równym. Odniosłem wrażenie, że przede mną ciągnie się wąski korytarz. Gdym spojrzał naprzód, z trudem stłumiłem okrzyk. W ciemnościach dojrzałem poruszające się rytmicznie małe światełko. Pan Holsbein, pewniejszy siebie niż ja, mógł kierować swymi krokami w świetle latarni. Z tego skorzystam i ja i swobodniej będę mógł oryentować się wśród otaczającej mnie nocy.

Ruszyłem prosto ku światłu, unikając jednak wydania najmniejszego szmeru, by nie zdradzić swej obecności. Trzewiki tenisowe były jak najodpowiedniejsze do tego... ze ścian jednak widocznie bardzo starych poodpadało wiele kamieni i czułem, jak toczą się pod memi stopami; drżałem, by hrabia nie dosłyszał tego i nie zwrócił na to uwagi. Szelest, jaki sam wydawał, zapewne przygłuszał wszelki inny... a przytem uważał się tutaj za zupełnie samotnego. Nie krępował się też niczem i szedł śmiałym krokiem. Pomyślałem o X 323; jeżeli teraz przybył do studni, będzie musiał długo czekać. Co za dziwne życie! Ten, kto pilnuje teraz hrabiego, jest właśnie Maks Trelam, któremu zabroniono tej przyjemności.

Ciemność tego korytarza działała przygniatająco. Zdawało mi się, że jestem tutaj już od kilku godzin, chociaż przebyłem w pogoni za tem światełkiem nie więcej jak sto pięćdziesiąt metrów.

Nad głową mą rozlegał się jakiś łoskot, galerya ta więc przechodziła pod ulicą... Co za niespodzianka byłaby dla stangreta powozu, który z takim hukiem przejeżdżał, gdyby nagle zapadła się ziemia, ukazując aleję, po której ja się przechadzam*).

Lecz co to znaczy? Światło, które mnie prowadziło, zdaje się podnosić do góry, jakby do sufitu galeryi i tam niknie. Przyspieszam kroku... po przejściu kilka metrów trafiam na nowe schody, które winnyby kończyć się na powierzchni ziemi... W górze widać wyraźnie prostokąt, jakby otwór, wychodzący na nowe jakieś miejsce, nie tak już ciemne jak ten korytarz. Nie namyślając się, zacząłem wspinać się jak najszybciej, by nie stracić tylko śladu hrabiego. Dostałem się tędy do jakiejś sali sklepionej, zapełnionej najrozmaitszego rodzaju starą bronią. Gdzie ja jestem? Dowiedziałem się później, że była to piwnica muzeum Armeryi, w której składano przedmioty nie wystawiane, z braku miejsca, na pokaz. Na razie nie było czasu do namysłu. Promienie światła uderzyły mnie prosto w twarz. Zatrzymałem się jak oślepiony. Gdy wreszcie mogłem patrzeć, ujrzałem przed sobą hrabiego Holsbeina. Spoglądał na mnie ironicznie, trzymając w ręku małą latarkę, która mnie tak poraziła.

Położenie me było nie do pozazdroszczenia. Na wszelki wypadek wsunąłem rękę do kieszeni, gdzie miałem rewolwer.

Hrabia jednak uśmiechnął się tylko i rzekł dobrodusznie:

— Szczęście, że pana poznałem. Inaczej poczęstowałbym pana jak nocnego włóczęgę.

Zmieszany tem, nie wiedziałem, co mówić, rzekłem tylko bezwiednie:

— Tak, tak... istotnie!

— Ale co pan tu robi? — zapytał zaraz.

Najlepiej było zwrócić się z tem samem do niego:

— A pan? Ja idę za panem.

Zamiast jednak tego, odpowiedziałem w możliwie najgłupszy sposób:

— Och! ciekawość archeologa... stare kamienie...

— Doprawdy!

— Jakaś cyganka z gitarą opowiadała mi o Studni Mauretańskiej... Przyszedłem też tutaj... W środku ujrzałem klamry żelazne i otwór w ścianie... W ten sposób dostałem się do środka!

Słuchał mnie, przytakując głową.

Zjawiła mi się jednocześnie myśl:

— Uważa mnie za swego szpiega... Co do dzisiejszego wieczoru nie bardzo się myli.

Bojąc się jednak, by nie pokłócić się z ojcem swej ukochanej, chciałem nadać rozmowie kierunek jak najobojętniejszy i zapytałem tonem zupełnie naturalnym:

— Lecz i pan, jak widzę, jest również zawołanym archeologiem.

Twarz jego stała się bardziej jeszcze szyderczą.

— Och! mnie jest znany poszukiwacz starych rupieci.

Czułem, że kłamie, taką miał jednak minę, jakgdyby wierzył w me tłómaczenie. Musiałem odpłacić mu się równą grzecznością.

— A przytem — dodał — omszone mury, stare, potrzaskane ściany są dla mnie najlepszym środkiem na migrenę... Nie opuszcza mnie ona dzisiaj. Dokuczała mi już w parku... Wieczorem po obiedzie wyszedłem przejść się... Spacer sprawia mi nieraz ulgę... Lecz niestety człowiek zamierza iść w jedną stronę, a archeologia kieruje go w drugą... Przyszedłem tutaj i cieszę się teraz, bo będę miał pańskie towarzystwo.

Ten przebiegły filut, pomyślałem sobie, nie tylko zabrał już stąd tajemny dokument, ale jeszcze zamierza wykorzystać dla swej obrony mą obecność.

— Czy pozwoli pan, byśmy wrócili razem? — zapytał — jakby odpowiadał na me myśli. Powrócimy do studni za dnia i opowiem panu wtedy historyę, którą uważam za prawdziwą, a która naogół jest nieznaną. Cyganki tylko śpiewają legendy o faktach, jakie się tu rozegrały przed dawnemi czasami.

Zapraszał mnie do towarzystwa, nie myliłem się więc co do jego intencyi.

Przysięgając sobie, że nie wróci on do Casa Avreda z papierem, którego ogłoszenie może zachwiać pokojem Europy, odpowiedziałem jednak uprzejmie:

— Z przyjemnością skorzystam z pańskiego zaproszenia.

I skierowałem się do otworu, przez który tu wszedłem.

Zatrzymał mnie hrabia:

— Nie tędy. Wybaczy pan, że odkrywca, który już pana wyprzedził, poprowadzi pana i dalej.

Mówiąc to, zasunął na miejsce płytę, która zakrywała schody do podziemnego korytarza i podszedł do małych drzwi w murze. Otworzył je, zanim mogłem dojrzeć, czy używa on klucza, czy też czyni to w jakiś sekretny sposób. Wogóle wszystkie fakty następowały po sobie tak szybko, iż poprostu nie miałem czasu na żadne domysły. Pan Holsbein wziął mnie pod rękę i poprowadził naprzód. Znaleźliśmy się w ogrodzie. Obróciłem się i ujrzałem małe drzwi w ścianie budynku, który już nieraz poprzednio oglądałem.

By nie dopuścić we mnie najmniejszej wątpliwości, hrabia zaraz dodał:

— Jest to Muzeum Armeryi, która posiada najpiękniejszą na całym świecie kollekcyę zbroi.

Potem oparł się na mem ramieniu.

— Ogród ten z nastaniem nocy zamknięty jest dla publiczności, lecz, jak pan widzi, archeologowie

*) Szczegół prawdziwy. Korytarz ten odkryto niedawno podczas robót podziemnych w Armeryi.

posiadają pewne przywileje. Wyjdziemy stąd przez Calle Mayor na Puerta del Sol.

Chciałem zachować minę tak swobodną jak i on.

— Przed chwilą wspominał pan o legendzie, przywiązanej do Studni Maurytańskiej.

— Rzeczywiście.

— I przyrzekł mi pan opowiedzieć, ile prawdy mieści się w tem podaniu ludowem.

— Owszem.

— Otóż niektóre fakty są dla mnie zupełnie zrozumiałe, jak naprzykład Maur, tajemnicze słowa, kierujące wodą i t. d., nie wiem jednak, co znaczy piękna dziewica, niewolnica tego Maura.

Pan Holsbein roześmiał się szczerze.

— Piękna dziewica jest nazwą, nadaną zbroi wielkiego mistrza z Alcali z powodu wyrytej na niej głowy kobiety...

— A więc ten Maur?

— Skradł tę zbroję, uciekając podziemnym korytarzem, który sam wykopał.

— Jakto! zawołałem zdziwiony. Tyle pracy dla jednej zbroi?

— Pojmie pan to zaraz, gdy dodam, iż uważano powszechnie, że ta zbroja daje temu zwycięstwo, kto ją na siebie włoży. Miała więc nieocenioną wartość.

Droga prowadziła teraz przez wąską ścieżkę, wydeptaną między dwoma dużymi krzakami. Hrabia puścił mnie pierwszego. Postąpiłem zaledwie dwa kroki, gdy nagle uderzono mnie silnie w kark. Doznałem wrażenia, jakby wszystko wstrząsło mi się w mózgu, straciłem czucie i padłem na ziemię.

Nie zostałem zabity, jeżeli obecnie opowiadam o tej przygodzie, byłem jednak, jak mówi Falstaff, bardzo blisko tego.

VII.

OCKNIENIE.

Otworzyłem oczy. Przekonałem się, że znajduję się u siebie w hotelu. Usłyszałem wrzenie gotującej się wody i szept przyciszonej rozmowy osób, których nie widziałem. Starałem się odwrócić głowę, w karku jednak doznałem nader silnego bólu. Instynktownie schwyciłem się ręką za szyję. Czaszka moja na podobieństwo mumii egipskich obwiązana była cała bandażami. Zdziwiło mnie to bardzo, gdyż nie przypominałem sobie, bym przywdział na noc taki strój na głowę. Zdumiałem się jeszcze więcej, gdym usłyszał te słowa:

— Senorita, poruszył się.

Cóż to się dzieje? Był to głos Concepcion... w moim pokoju... w hotelu... to niemożliwe. Z pewnością śni mi się to.

Nie spałem. Przed oczami memi przy posłaniu stanęło urocze zjawisko. Nachyliło się i zbliżyło do moich warg jakieś naczynie z napojem, rozkazując mi tkliwie:

— Proszę pić.

— Miss Niete, Niete! — zawołałem — to ty!

Potaknęła głową i wyszeptała czule:

— Naprzód proszę pić, potem porozmawiamy.

Wypiłem... Jeżeli ta przygoda wydawała mi się niezrozumiałą dla mego wstrząśniętego umysłu, to za to jasno widziałem, że przynosi mi ona wielką korzyść. Niete podała próżne naczynia Concepcion, która się zbliżyła do łóżka, a do mnie odezwała się:

— Proszę nie mówić... Lekarz zabronił... Ach! to już dwa dni się ciągnie, jak ja się bałam!... Nie odzyskiwałeś przytomności... Ojciec posłał mnie zaraz nazajutrz rano...

Spoglądałem na nią zdumiony. Co ona mówi? Nie wątpiłem o prawdziwości jej słów, nie rozumiałem ich jednak. Miałem tylko wrażenie, że zaraz wszystko poznam, o wszystkiem dowiem się.

— Ach! — szeptała drżącym głosem Niete — rana twoja tak strasznie wyglądała.

Rana! Teraz już pojąłem. Przypominam sobie Studnię Maurytańską, Armeryę i hrabiego; zwłaszcza hrabiego, który zabijąc mnie, chciał pozbyć się zbytecznego świadka. Wówczas gdy ja namyślałem się, w jaki sposób odebrać mu dokument, który, jak sądziłem, miał przy sobie, on najspokojniej ubezwładnił mnie.

— Na szczęście ojciec mój otrzymał lżejszą ranę i pozwolił mi przyjść tutaj z Concepcion, by czuwać nad tobą.

— Pozwolił? — powtórzyłem...

Tego już za wiele; zabójca pozwala córce naprawić zło, które uczynił.

— Pozwolił — potwierdziła — chociaż sam był raniony.

— I jego raniono?

Znowu coś się we mnie gmatwało... Moja ran jest zupełnie zrozumiałą, lecz jego?... Niete nie mogła domyślać się mych myśli. Biedaczka, cierpiałaby za wiele, gdyby dowiedziała się, że jej ojciec chciał przyszłego swego zięcia wyprawić na tamten świat. Nie, moja cudowno madonno o lazurowych oczach, nigdy się o tem nie dowiesz.

Mówiła tymczasem dalej:

— Raniono go w głowę jak i ciebie, lżej jednak, gdyż rano odzyskał przytomność.

— Dziś rano?

— Ach! źle opowiadam... Pamiętasz ten dzień w parku, gdy nagle ojciec nas zastał razem. Ufność, że mnie kochasz... Przypominasz sobie?

— Raczej wszystko zapomnę, niż to.

Położyła swą drobną rączkę na mych ustach.



Spoglądał na mnie ironicznie, trzymając w ręku małą latarkę.

— Proszę nie mówić, lekarz nie pozwala... Słuchaj tylko. Twoja infirmierka ma prawo mówić teraz za dwoje. Mój ojciec, jak wiesz, miał migrenę. Po obiedzie chciał wyjść, by uwolnić się od tego bólu. Ja udałam się do swego pokoju i zasnęłam, śniąc o angielskim gentlemanie, który ma uczynić ze mnie Angielkę.

Ucałowałem rękę, którą zostawiła mi przy twarzy; wywołało to cudowny uśmiech na jej ustach.

— Koło północy cała Casa Avreda została wzburzona... Dzwonią, krzyczą, chodzą... Cóż to mogło znaczyć?... Podniosłam się i zobaczyłam, jak policyanci niosą mego omdlałego ojca z raną na głowie. Jakiś nieznany człowiek dał znać policyi, że dwie osoby leżą w ogrodzie w Armeryi... Znikł on zaraz, lecz wiadomość jego była prawdziwa... Leżałeś na jakiejś wąskiej ścieżce, prowadzącej do piwnic muzeum, o sto kroków bliżej leżał mój ojciec... Dowiedziałam się tego od policyantów... Pomyśl tylko o mojem położeniu. Ciebie zaraz poznano, gdyż złoczyńca nie zabrał ci portfelu z biletami i przeniesiono cię też natychmiast do hotelu. Ojciec, który był zupełnie bez czucia, spędziłby noc w szpitalu, gdyby nie jeden policyant znajomy, stojący często na posterunku przed naszym domem.

Najróżnorodniejsze myśli tłoczyły mi się w głowie. Mnie powalił hrabia Holsbein, lecz kto jego? Czy przypadkiem nie X 323?... Co w tem niemożliwego, by ten dziwny człowiek tam się znajdował?... Lecz w takim razie wiedział, że weszliśmy przez Studnię Maurytańską, a wyjdziemy tą stroną? Lecz co odpowiedzieć policyi, gdy będzie zapytywała o ten napad? Jeżeli X 323 nie zdobył jeszcze pożądanego dokumentu, nie należy o niczem nawet wspominać.

Wszystko to mieszało mi się w głowie. Możnaby powiedzieć, że czaszka moja zamieniła się w kocioł, w którym wszystko razem gotuje się. Narzeczona moja, nie przypuszczając, co może się dziać z memi myślami, opowiadała dalej.

— Najdziwniejsze w tej całej niezrozumiałej przygodzie jest to, iż ojciec mój utrzymuje, że nie wchodził wcale do ogrodu Armeryi, który zresztą wieczorem jest zamknięty dla publiczności.

Nadstawiłem uszu. Czy przypadkiem hrabia nie dlatego tylko pozwolił przyjść swej córce, by wskazała mi bezwiednie, w jaki sposób należy odpowiadać policyi?

— Mówi, że po wyjściu z domu przechadzał się bez celu i gdy doszedł do jakiegoś kościoła, którego nazwy nie pamięta, migrena tak się wzmogła, iż pociemniało mu w oczach... Nagle uczuł jakieś silne uderzenie w głowę i wtedy musiał paść zemdlony, gdyż nic więcej nie może sobie przypomnieć.

Słusznie domyślałem się... Niete została posłana do mnie jako nieświadomy swej roli informator. Można z tego wnioskować, że hrabia jest niepospolitym graczem i ma twardą głowę, jeżeli po swym ciosie może myśleć o takich szczegółach. Wskazywał mi drogę i nie wahałem się wstąpić na nią. Muszę kłamać wobec tego, lecz z czasem Niete pozna prawdę i wybaczy mi, żem ją zwodził i nie wyznał jej wszystkiego.

— Istotnie jest to dziwne — odezwałem się tonem najgłębszego zdumienia.

— Co się senorowi wydaje tak dziwnem — zawołała Concepcion, która widocznie nie mogła znieść dłużej swej milczącej roli.

Dzielna dziewczyna! jak zawsze, tak i tym razem przyszła mi z pomocą.

— Bo i ja również ani kroku jednego nie stąpiłem w ogrodzie Armeryi.

— Santa Virgen! Niepokalana Panienko!

— Czyż to możliwe?

Oba te wykrzykniki rozległy się razem z tą tylko różnicą, że Concepcion był dłuższy.

— Ależ tak jest... Z powodu wzruszeń, jakich doznałem tego dnia, szukałem samotności... Zdaje mi się, że idąc przed siebie bezwiednie, doszedłem do brzegu Mancanaresi, tam doznałem jakby uderzenia, a potem nie wiem, co się stało.

Przyznać muszę, że dla każdego, kto nie podejrzywał szczerości tych dwóch jednakowych wyjaśnień, mojego i hrabiego, ci dwaj ranni, którzy nie wiadomo w jaki sposób zostali w jednym czasie przeniesieni przez swych napastników do ogrodu Armeryi, musieli przedstawiać niezwykle trudną, tajemniczą zagadkę.

Niete i Concepcion znalazły zaraz tłómaczenie, utrzymując, że tej podwójnej zbrodni dopuścił się jakiś szaleniec, którego monomania miała swój wyraz w ukrywaniu ofiar na jednem miejscu. Do tych samych wniosków doszli i dziennikarze hiszpańscy, którzy następnego dnia szeroko rozpisywali się o tym niepowszednim napadzie. Osobiście nie czułem wielkiej urazy do mego „prawie zabójcy“, gdyż mogłem obecnie w całej pełni korzystać z towarzystwa Niety; pod wejrzeniem jej cudownie pięknych oczów szybko powracałem do normalnego stanu. Pod wieczór Niete odeszła, zabierając z sobą Concepcion. Miała ona złożyć hrabiemu me pozdrowienia i wyrazić zdziwienie, że narzeczony uległ takiemuż zamachowi, jak i teść. Była to zarazem i odpowiedź na radę, jaką mi przysłał za pośrednictwem nieświadomej tego Niety. Istotnie, postanowiłem nie wspominać nikomu ani o Studni Maurytańskiej, ani o dokumencie.

Na drugi dzień rano przyszła Concepcion dowiedzieć się o moje zdrowie. Noc spędziłem doskonale i lekarz, który mnie doglądał, oznajmił mi, iż popołudniu będę mógł się podnieść z posłania. Rany na głowie albo sprowadzają śmierć, albo kończą się tylko bliznami bez groźnych następstw.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Młodzież handlowa i rękodzieinicza Słowackiemu.

W niedzielę dnia 24 b. m. odbył się w bursie im. Andrzeja Potockiego poranek ku czci J. Słowackiego. Uroczystość nie wystawna, skromnemi siłami wykonana, jednakże tem znamienna, że do ogólnego łańcucha hołdu dodała ostatnie ogniwo, którego tam dotąd brakowało. a mianowicie hołdu dla wieszcza od młodzieży handlowej i rzemieślniczej.

W zieleń udekorowanej sali bursy pod popiersiem Mistrza stanęła ta młodzież, by dać wyraz temu, że i ona chce i ma prawo należeć do tej wielkiej rodziny, nad którą duch poety panuje.

Słowo wstępne wypowiedział p. Tad. Piotrowski. dyrektor bursy, podkreślając znaczenie tej uroczystości w ogólnym hołdzie dla wielkiego Juliusza. Barwny odczyt wygłosił prof. Owiński, a radca m. A. Porębski wskazał w swej przemowie na ważność zadania, jakie ma bursa A. Potockiego, jako pierwsza instytucya tego rodzaju w kraju, a za wzór w działaniu wskazał jej ideały Słowackiego zaklęte w haśle: „Niech żywi nie tracą nadziei“. Serdecznością i ojcowskiem ciepłem tchnęła przemowa prof. Bielaka do młodzieży. Nastąpiły udatne produkcye muzyczne i deklamacye uczniów.

Gości było niewiele mimo notatek w dziennikach o poranku, co tem tłomaczyć można, że specyalnych zaproszeń się nie wysyłało, a uroczystość miała charakter więcej domowy.

Obok podajemy zdjęcie fotograficzne sporządzone w ogrodzie bursy, a przedstawiające uczestników uroczystości.



Młodzież handlowa i rękodzielnicza Słowackiemu: Uczestnicy poranku ku czci Słowackiego w bursie im. śp. Potockiego.

Goście z Chorwacyi w Krakowie.

Na obchód ku czci Słowackiego urządzony w ubiegłym tygodniu we Lwowie, przybyło bardzo wiele wybitnych osobistości ze świata literackiego i naukowego nie tylko ze wszystkich stron Polski, ale i z innych krajów słowiańskich. Między innymi reprezentowali Chorwatów dwaj profesorowie uniwersytetu w Zagrzebiu, dr. Barala i dr. Sziszicz. Chorwaccy ci uczeni zatrzymali się w drodze do Lwowa przez dwa dni w Krakowie, pragnąc zaznajomić się ze stolicą duchową Polski, z jej pamiątkami. oraz literaturą i sztuką choćby pobieżnie. Korzystając z uprzejmości krakowskich slawistów, dr. Konecznego. prof. Grabowskiego i Zdziechowskiego, zwiedzili w ich towarzystwie najważniejsze pamiątki krakowskie, godne widzenia, zachwycając się mnóstwem pomnikowych dzieł, tu nagromadzonych.



Goście z Chorwacyi w Krakowie: Prof. dr. Teodor Sziszicz i prof. dr. Albert Barala z Zagrzebia.

Przyrzekając w przyszłym roku w pokaźniejszej liczbie zjawić się w Krakowie z okazyi obchodu zwycięstwa pod Grunwaldem zapewnili też obaj profesorowie, że dążeniem ich będzie zaznajomienie swych uczniów z najcelniejszymi utworami literatury polskiej.

Zdjęcie fotograficzne, przedstawiające obu sympatycznych gości z Chorwacyi, dokonane w Muzeum Czartoryskich, zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Z życia amerykańskiego.

Wszystko, co dzieje się w Ameryce, ma na sobie piętno oryginalne. Ameryka to kraj, gdzie najwięcej urzeczywistnienia znajduje przysłowie, iż: „dzień to pieniądz“. To też walka o pieniądz, pogoń za dolarami jest jedną z najwybitniejszych cech życia amerykańskiego i to do tego stopnia, że w naszych pojęciach Ameryka urosła na kraj, gdzie jedynie jeszcze można zrobić majątek i gdzie jedzie się po to. aby zrobić majątek.

Tę metodę gonienia za pieniądzmi, zdobywania ich po przez wszystko i wszędzie gdzie się da, przejęli także księża najpierw protestanccy, uważając, że swe wyznanie należy publicznie i po amerykańsku reklamować, podobnie jak to czynią różne przedsiębiorstwa, a za nimi poszli i księża inni. Dziś ulice i place publiczne w Ameryce północnej stały się miejscem wygłaszania kazań przez duchownych, jak to właśnie przedstawia nasza illustracya.

Wyścig etapowy Wiedeń-Berlin.

Poza wyścigami konnymi na torach, gdzie odbywa się próba bądź to szybkości, bądź to wytrzymałości koni, jedną z najpoważniejszych prób klasy konia, stanowią wyścigi dystansowe. Ze znanych w Austryi i głośniejszych takich wyścigów są: wyścigi dystansowe koni wierzchowych na przestrzeni Budapeszt-Wiedeń i wyścig etapowy dla koni pociągowych względnie pojazdowych na przestrzeni Wiedeń-Berlin. I śmiało powiedzieć można, że próby te przynoszą daleko więcej korzyści dla w pierwszym rzędzie w nich zainteresowanej wojskowości, niż wyścigi na torach, które dość często pod względem sportowym reprezentują najmarniejszą klasę koni a hodowli pod żadnym względem nie poprawiają.

Wyścig etapowy Wiedeń-Berlin dla koni pojazdowych jest tak z czysto sportowego jak i z hodowlanego punktu widzenia konkursem pierwszorzędnego znaczenia. Corocznie bierze w nim udział znaczna ilość sportsmanów tak austryackich i niemieckich.

Tego roku rozpoczął on się d. 14 października



Wyścig etapowy Wiedeń-Berlin: Zwycięska klacz „Altenberga“. v. Braudta z Berlina.

a linia wyścigu o tyle była dość trudna i żmudna, że prowadziła z Wiednia przez Czechy na Berlin, przyczem konkurenci mieli do pokonania dość znaczne pochyłości i wzniesienia terenu i dróg. Etapy i noclegi z góry zostały wyznaczone, gdyż naturalną jest rzeczą, iż trudno było myśleć o przebyciu tak znacznej drogi bez wypoczynków dla koni i jeźdźców.



Wyścig etapowy Wiedeń-Berlin: Dwójka rotm. L. Michałowicza (z Austryi), przybywa do mety z kolei trzecia.

Na starcie w Wiedniu stanęło w dniu 14 października 20 współzawodników, w tem 17 z Niemiec a 3 zaledwie z Austryi. Wyścig miał na celu wypróbować wytrzymałość koni zaprzęgowych przy przebywaniu tak długich przestrzeni.

W ciągu drogi z 17 współzawodników niemieckich odpadło 15 a z trzech konkurentów reprezentujących w wyścigu Austryę odpadł jeden a dwóch przybyło do mety zdobywając nagrodę trzecią i czwartą.

Pierwszą nagrodę zdobył p. A. v. Brandt, którego klacz „Altenberga“ przybyła do mety w Berlinie w 49 godzin i 9 minut, drugim był p. Bruno Grossmann w 52 godz. i 14 min., trzecim rotmistrz L. Michałowicz w 53 godz. i 27 min. a czwartym bar. Moser w 54 godz. i 38 minut.

Zamordowanie japońskiego dyplomaty.

W chwili, kiedy na dalekim Wschodzie zebrały się znów czarne chmury, grożące burzą wojenną, w chwili kiedy rząd japoński wysłał swego najwybitniejszego dyplomatę, księcia Ito, celem porozumienia się za jego pośrednictwem z rządem rosyjskim w sprawie kolei mandżurskiej, zaszedł wypadek, który może mieć najgorsze dla pokoju następstwa i sprowadzić nieprzewidziane na razie konsekwencye.

Oto w Charbinie dokonano zamachu na ks. Hirobumie Ito, który rażony kilku strzałami rewolwerowymi, życie wnet potem zakończył. Wypadek zaszedł w chwili, kiedy ks. Ito z rosyjskim ministrem skarbu Kokowcewem i kilku dygnitarzami cywilnymi i wojskowymi wysiadł z powozu na stacyi Charbin.

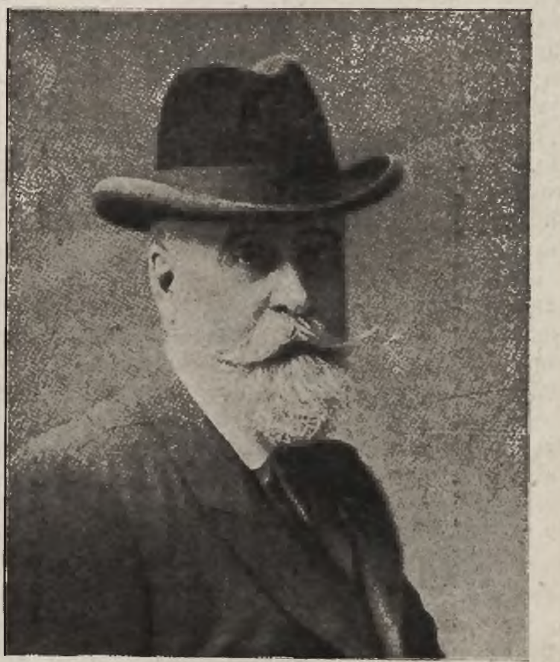
Smierć ks. Ito wywarła ogromne wrażenie, tem więcej, że jest niewątpliwie następstwem spisku ze strony Koreańczyków. Ujęty sprawca mordu przyznał się do czynu i oświadczył, iż przybył do Charbina z zamiarem zamordowania dyplomaty japońskiego.

Zamordowany ks. Ito pochodził z rodziny samurajów. Urodzony 1840 r. nauczył się w wieku młodzieńczym języków holenderskiego i angielskiego, poczem wyjechał w podróż do Europy i trzy lata spędził w Anglii. Powróciwszy do kraju ojczystego stał się gorącym zwolennikiem reform państwowych w duchu europejskim oraz zaprowadzenia konstytucyi w Japonii. Ze względu zaś na jego olbrzymie zasługi w dziele odrodzenia państwa japońskiego mikado powoływał go na stanowisko ministra, szefa gabinetu, a wkońcu wicekróla Korei. Ustąpiwszy niedawno z tego stanowiska, został prezydentem rady najstarszych.

Wielkich zdolności, pełen energii i zapału, służył ks. Ito do ostatnich chwil życia ukochanej ojczyźnie, jako wzór obywatela i patryoty.

Nowy gabinet w Hiszpanii.

Gabinet Maury ustąpił a miejsce jego zajął gabinet liberalny z Moretem na czele. Ustępowanie gabinetów, powstawanie nowych nie jest czemś niezwykłem. Co pewien czas to tu, to gdzieindziej walą się gabinety a na miejsce upadłych premierów wyrastają nowi zwolennicy karyery i zaszczytów. W Hiszpanii jednakowoż proces obalania gabinetów o tyle został uproszczonym, że oba o władzę i rządy kompetujące stronnictwa a więc konserwatyści i liberali umówili się, że rządy kolejno przechodzić będą



Nowy gabinet w Hiszpanii: Moret, nowy premier gabinetu i minister spraw wewnętrznych.

z rąk jednego stronnictwa w ręce drugiego. To też każdorazowa zmiana gabinetu odbywała się bardzo spokojnie, nawet bez udziału opozycyi. Najczęściej partya rządząca sama ustępowała lub też król dymisyonował danych członków gabinetu po pewnym czasie ich urzędowania.

Obecna zmiana gabinetu nastąpiła — jak wiadomo — po straceniu Ferrera, co liberałom dało formalny powód do zaatakowania rządów konserwatywnych Maury. Ze strony liberałów było to złamanie paktu zawartego z konserwatystami, którzy, ma się rozumieć — ze swej strony odpowiedzieli natychmiast po zamianowaniu przez króla nowego gabinetu, atakami na nowego premiera Moreta.

W skład gabinetu liberalnego wchodzą: Moret jako prezydent ministrów i zarazem minister spraw wewnętrznych; Caballero, minister spraw zagra-



Zamordowanie japońskiego dyplomaty: Książę Hirobumi Ito.



Z życia amerykańskiego: Pastor protestancki (X) wygłaszający kazanie do przechodniów na ulicy.

nicznych; Alvarado, minister skarbu; gen. Luque, minister wojny; admirał Concas, minister marynarki; Garset, minister handlu, rolnictwa i robót publicznych.

Ministerstwo sprawiedliwości i oświaty nie jest jeszcze obsadzone.

Z wiedeńskiego parlamentu.

Parlament wiedeński zajął się — przynajmniej na oko — sprawą niesłychanej drożyzny, która daje się we znaki wszystkim bez wyjątku krajom i wszystkim sferom ludności. Czy jednak usiłowania Izby posłów przyniosą jaką korzyść zubożałej ludności, jest rzeczą więcej niż wątpliwą, nietylko bowiem leży to w pewnej mierze po za zakresem kompetencyi i władzy parlamentu, ale nadto parlament ten zacietrzewiony jest do tego stopnia walką narodowościową, iż wszystkie inne, choćby najważniejsze i najżywotniejsze sprawy, muszą zejść na plan drugi.

Walki narodowościowe, ta odwieczna bolączka parlamentaryzmu austryackiego, doprowadziła znowu sytuacyę polityczną do tego punktu, którego konsekwencyą musi być przesilenie gabinetowe.

Szczęśliwem będzie można nazwać to przesilenie, jeśli zakończy się tylko zmianą rządu, a nie doprowadzi do zamknięcia sesyi na czas dłuższy lub nawet rozwiązania Izby posłów. A wszystkie te ewentualności są zupełnie możliwe.

To też prezydyum Izby posłów, niedawno dopiero wybrane, może już w najbliższym czasie pójdzie na dłuższy urlop. Prezydyum to dało się przed paru dniami wspólnie odfotografować, może w przeczuciu blizkiego końca urzędowania, niejako na pamiątkę. Reprodukcyę zdjęcia tego zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

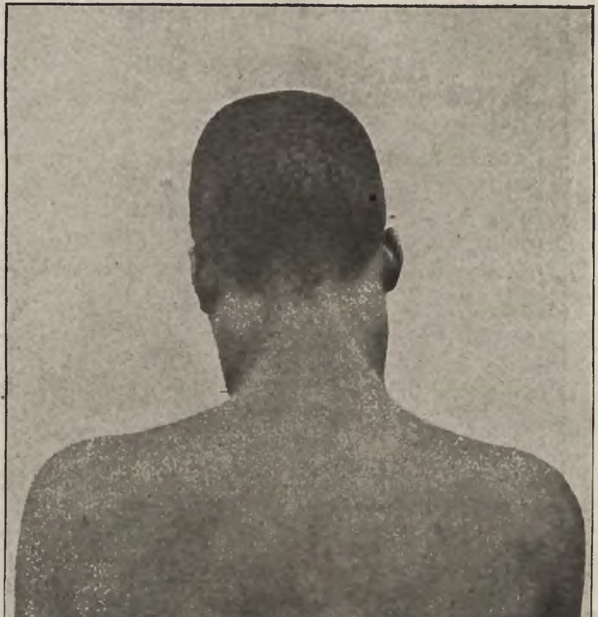
Tragiczna katastrofa w Borysławiu.

Wstrząsający wypadek zaszedł w ubiegłym tygodniu w Borysławiu. Nastąpił tam mianowicie w nocy gwałtowny wybuch gazu a ofiarą eksplozyi padło kilka osób.



Groźna epidemia wśród Murzynów: Przenoszenie chorego na „śpiączkę“ do baraków szpitalnych.

Katastrofa wydarzyła się w domu dyrektora kopalni „Eugeniusz“, Leona Reitera, brata znanego adwokata lwowskiego, dra Eugeniusza Reitera. Jaką drogą gaz w tem mieszkaniu się nagromadził, jest rzeczą niewyjaśnioną. Wedle jednej wersyi nastąpiło to skutkiem zepsucia się rur, doprowadzających gaz do opalania i oświetlania domu, wedle innej zaś skutkiem tego, że dom ten zbudowany był na terenie, na którym dawniej kopano wosk; szyby wprawdzie zasypano, ale gazy podziemne gromadziły się dalej w szybach i przedostawały się podłogą do mieszkania. Otóż nagromadzone w mieszkaniu gazy wybuchły, powodując straszny wypadek.



Groźna epidemia wśród Murzynów: Chory na „śpiączkę“ ze spuchniętymi gruczołami limfatycznymi.

Ofiarą padł przedewszystkiem dyr. Reiter, który wskutek wybuchu odniósł tak ciężkie rany, iż w kilka godzin później zmarł. Również żona jego ciężko poraniona a dziecię dogorywa. Mamka dziecka poważnie chora.

Straszliwy ten wypadek wywołał w Borysławiu ogólne poruszenie i współczucie dla dotkniętych nim osób.

Przypomniał on tragiczny wypadek z przed lat kilku, kiedy to w zupełnie podobnych okolicznościach postradali życie śp. inż. Adamowski, oraz jego żona.



Z parlamentu wiedeńskiego: Prezydyum Izby posłów: (od lewej ku prawej) wiceprezydent Pogacznik, prezydent dr. Pattai, wiceprezydent dr. Starzyński i wiceprezydent dr. Steinwender.

Gościna turecka w Wiedniu.

W ubiegłym tygodniu przybyła do Wiednia niezwykle liczna wycieczka turecka celem zwiedzenia urządzeń fabrycznych i handlowych Austryi, jak też



Groźna epidemia wśród Murzynów: Mucha, przenosząca zarazki „śpiączki“.

celem bliższego poznania życia i stosunków handlowo-przemysłowych monarchii.

Z chwilą pokojowego załagodzenia z Turcyą konfliktu o kraje anektowane, nastąpiło między odradzającem się cesarstwem ottomańskiem a monarchią austryacko-węgierską pewne zbliżenie, które kierownicy austryackiej polityki zagranicznej starają się pielęgnować troskliwie, by doprowadzić do zaciśnienia węzłów wzajemnej przyjaźni. To nie ulega wątpliwości, że szczególnie w chwili obecnej, po zjeździe w Racconigi, Austryi więcej jeszcze niż dawniej



Tragiczna katastrofa w Borysławiu: Bł. p. dyrektor Leon Reiter.

zależeć będzie na porozumieniu i zaprzyjaźnionem pożyciu z odrodzną Turcyą, choćby już z tego tylko względu, by nie pozwolić się Rosyi i Włochom wyprzeć z półwyspu bałkańskiego. Z tem większą więc i ostentacyjną uprzejmością przyjmowano w Wiedniu uczestników wycieczki tureckiej do Austryi, na czele której stała spora garść deputowanych tureckiego parlamentu a w której wzięło także udział dość liczne grono oficerskie.

Dla przemysłu i handlu austryackiego turecki rynek zbytu jest jedynem z najpoważniejszych, to też koła przemysłowo-handlowe Austryi starały się wystąpić jak najokazalej.

Należy podnieść, że uczestnicy wycieczki byli także w gmachu parlamentarnym, gdzie zajęli miejsce w pierwszych rzędach galeryi i przez dłuższy czas przysłuchiwali się obradom Izby.



Tragiczna katastrofa w Borysławiu: Bł. p. Reiterowa.

Przed odjazdem z Wiednia dali się uczestnicy wycieczki odfotografować, wraz z dr. Luegerem. Zdjęcie to dziś zamieszczamy.



Gościna turecka w Wiedniu: Uczestnicy wycieczki tureckiej wraz z reprezentacyą Rady m. Wiednia. W pierwszym rzędzie siedzi dr. Lueger (w cylindrze), a obok niego na lewo poseł dr. Riza Tewfik.

A. K. Green.

Który z nich?

9 (Ciąg dalszy).

Wyłoniła się wobec tego bardzo zawiła kwestya, kim był ten drugi tajemniczy jegomość, którego wypuścili, a ponieważ ani chciałem, ani mogłem zaspokoić ich pod tym względem, zaprowadzili więc mnie na policyę, gdzie musiałem pozostać do następnego dnia. O pół do dziesiątej rano stawili mnie przed komisarzem, który był zmuszony uwolnić mnie, przepraszając zarazem za zbytek gorliwości swych podwładnych.

Po powrocie do siebie, powiedziano mi, że jakiś służący przyniósł dla mnie pakunek i list. Była to moja marynarka i kapelusz z listem, zawierającym obiecane pięćset franków.

To tylko chciałbym wiedzieć teraz, proszę pana, kim był ten jegomość. Pytanie to nasuwa mi się ciągle od chwili, gdy otrzymałem te pieniądze. Człowiek, który może rozdawać swobodnie banknoty pięćsetfrankowe, musi być bardzo pożyteczny.

Opierając się o drzwi, czekałem z zapartym oddechem na odpowiedź. Wyznać muszę, że mój przyjaciel nigdy się nie spieszy. Wreszcie gdy się zdecydował mówić, rzekł głosem wolnym i spokojnym:

— Zdaje mi się, iż mówił mi pan poprzednim razem o jakimś dowodzie; o ile się nie mylę, miało to być pudełko do zapałek, znalezione w kieszeni ubrania, jakie ten nieznajomy pozostawił panu?

— Istotnie.

— Czy na tem pudełku jest jaki monogram?

— Tak, niech pan zobaczy.

Nastała chwila milczenia, potem dosłyszałem znowu najobojętniejszy głos Jana:

— Hm, tak, widzę. Czy pozwoli mi pan, bym porównał ten monogram z kolekcyą, jaką mam w tamtym pokoju? Może będę mógł powiedzieć panu, do kogo on należy.

— Proszę bardzo, niech pan to uczyni.

Jan zbliżał się do mnie. Nagłe wzruszenie, jakiego wtedy doznałem, posłużyło mi za przestrogę. Winienem uważać, by nie zdradzić swej obecności. Najmniejszy ruch, najmniejszy szmer mógł obudzić podejrzliwość agenta, którego domyślności należało się obawiać.

Dorlaix podał mi w milczeniu pudełko, otrzymane od Lataupe'a. Spojrzenie jego było tak wyraziste, iż zadawało najzupełniej kłam obojętności, z jaką słuchał opowiadania swego gościa. Z wielką ciekawością obejrzałem monogram. Trudno go było odrazu odczytać, lecz podczas gdym mu się przyglądał, Jan wziął ze stołu kawałek papieru i napisał:

— Znam to pudełko, jakbym je widział sto razy.

Potem dodał litery, składające ten monogram: L. J. B. H.

— Lionel Hardy? — szepnąłem lekkim, jakby tchnienie, głosem.

— Lionel John Baptysta Hardy — dopisał znowu Dorlaix.

Było to imię, które tkwiło ciągle w mym umyśle, imię, którego nie mogłem zapomnieć od dnia badania u sędziego śledczego.

Nie była to chwila odpowiednia do wymiany zdań. Jan przykręcił znowu gaz i powrócił tym samym, równym, jakby wymierzonym krokiem do salonu, mówiąc niedbałym tonem do Lataupe'a:

— Będąc na pańskiem miejscu, nie chwaliłbym się zbyt otwarcie tem cackiem. Jeżeli zachowa je pan dyskretnie, to może ono panu przynieść w tych dniach nowe pięćset franków.

— W jaki sposób? Czy pan zna ten monogram?

— Czy ja go znam? Doskonale. Pan zaś najlepiej uczyni, siedząc spokojnie i oczekując na dalszy bieg wypadków. O ile, ma się rozumieć, chodzi panu o zdobycie banknotów. Co pan uczynił z ubraniem swego przebranego bogacza?

— Schowałem je w szufladzie komody.

— Ach, tak! Dobrze, niech pan również schowa tam i pudełko, radzę to panu szczerze.

— Nie omieszkam tego uczynić.

— Jeszcze cygaro, panie Lataupe?

— Chętnie. Nie często palę podobne... Pan co mówi?

— Ja nic!

— Ach!... Zdawało mi się!...

— Nie, nic.

Przez dłuższą chwilę gospodarz i gość palili w milczeniu. Potem usłyszałem znowu głos Jana, który odezwał się możliwie najobojętniejszym tonem:

— Zdaje mi się, że ostatnim razem przytaczał pan jeszcze jakiś szczegół. Czy nie wspominał pan, że ten tajemniczy jegomość przed oddaniem panu swego ubrania, wyjął z kieszeni jakiś flakon, lub coś do tego podobnego?

— Bardzo możliwe. W każdym razie nie było to nic ciekawego. Dziwię się, że pan zwrócił nawet na to uwagę.

Dłuższe milczenie ze strony Jana, potem rzekł:

— Uważam na wszystko. Czy był to wielki flakon, czy mały?

— Maleńki. Mieścił się swobodnie w zamkniętej dłoni.

Nowe milczenie, przerwane nagle zapytaniem, od którego Lataupe zadrżał.

— Czy nie przypuszcza pan, że w podejrzanych salach matki Lepic palą opium?

Były agent zawahał się chwilę.

— Rzeczywiście, może to się tam dziać. Nie przyszło mi na myśl. Teraz rozumiem, dlaczego ludzie, jakich tam widziałem, a przynajmniej niektórzy z nich, mieli przytępiony wyraz twarzy, którego nie można wytłómaczyć pijaństwem. Bah!... Ale to nie opium było w tym flakonie, przynajmniej nie w postaci, w jakiej się go pali. Widziałem flaszeczkę, gdy przekładał ją z jednej kieszeni do drugiej. Był w niej jakiś ciemny płyn... Matka Lepic zajmuje się także w wolnych chwilach przyrządzaniem ziół. Musi handlować wszelkiego rodzaju lekarstwami...

Jan Dorlaix zdawał się pogrążać na nowo w stan jakiejś ospałej obojętności. Szepnął tylko, że Lataupe dużo rzeczy tam widział, mimo iż sala była ciemna, na co agent, którego wrodzona podejrzliwość zaczęła się budzić, odparł z pewnym przymusem:

— Widziałbym tam daleko więcej, gdybym domyślał się, że można na tem coś wygrać. Czy nie mógłby mi pan udzielić jakich wskazówek, jak się wziąć do rzeczy, by zyskać nowe pięćset franków?

Na to jasne zapytanie Jan odpowiedział tylko tonem, który kładł koniec całej rozmowie.

— Nie dzisiaj!

Agent wkrótce potem odszedł. Pośpieszyłem bez ceremonii do salonu. Jan siedział jeszcze przy stole i przyjął mnie na poły z uśmiechem, na poły z niepokojem.

— Jak ci się podoba moja komedya?

— Doskonałym jesteś aktorem, ale nie na tyle, by on nie podejrzewał, żeś zagrał z nim komedyę.

— Och! Nie wiele to znaczy. O ile nie odgadnie znaczenia tego monogramu, nie mamy czego się bać. A do tego nie dojdzie nigdy. Znam za dobrze mego Lataupe'a, bym mógł choć na chwilę to przypuszczać.

— Tak, lecz flakon? Całe miasto mówi o flakonie.

— Możliwe, ale nie o zapalniczce, która może przynieść pięćset franków jej posiadaczowi.

Siadłem naprzeciw Jana i patrząc mu prosto w twarz, rzekłem z namysłem:

— Obecnie, kiedy już to imię zostało między nami wymówione, możemy rozmawiać otwarcie. Kiedy zdarzyła się Lataupe'owi ta przygoda? Z pewnością pytałeś się go, którego dnia był u matki Lepic.

Jan, który nie lubi poruszać się, mimoto podniósł się i podszedł do etażerki, gdzie leżały dzienniki. Wybrał z pomiędzy nich jeden, założył starannie górną jego część, by zakryć datę i wskazał mi do przeczytania pewien ustęp. Przeczytałem artykuł, w którym była mowa o rewizyi policyi dnia poprzedniego u matki Lepic i o aresztowaniu kilku osób, wypuszczonych następnie rano z powodu braku dowodów przeciw nim.

— Teraz spojrzyj na datę dziennika.

Usłuchałem go skwapliwie. Była to data bolesna, data śmierci pana Hardy'ego.

— Sprawa z matką Lepic odbyła się w wigilię otrucia, był to komentarz jedyny, jaki mi dał, ton jednak jego głosu nie był już obojętny.

Na chwilę zamilkłem, wreszcie odezwałem się bez ogródek.

— Rozumiem. Sądzisz, że udał się do tej spelunki po truciznę.

Jan flegmatycznie pociągnął przed odpowiedzią kilka razy cygaro.

— Jest to prawdopodobne. Nie należy jednak zapominać, że proste przypuszczenie i pewność, są to rzeczy, daleko leżące od siebie. Ta flaszeczka, tak starannie wyjęta z kieszeni, w której znajdował się inny, daleko cenniejszy przedmiot, zawierała tylko jakiś płyn, a nie zostało stwierdzone, by to była trucizna. Tem mniej jest dowiedzione, by tą właśnie flaszeczkę znaleziono w sali jadalnej u Hardych.

— Zupełnie słusznie.

— To jednak, co opowiadał Lataupe o przebieraniu się i dziwnem zachowaniu Lionela w tem podejrzanem miejscu, pozwala na najgorsze domysły.

— Z pewnością — pośpieszyłem potwierdzić, rozmyślając nad tem, iż słowa byłego agenta przyniosą wielką ulgę Genowefie, lecz grożą zarazem ciężkiemi następstwami dla winowajcy.

— Gdyby nie fałszywe położenie panny Saugey w tem wszystkiem — odparł Jan — nigdy nie ośmieliłbym się mieszać do tej sprawy. Zbyt dobrze znam tych chłopców, sporo butelek szampana wypróżniłem z Jerzym Hardym, za wiele nocy spędziłem, mając przed sobą elegancką postać Alfreda. Co zaś do Lionela, to z nim rzadziej się spotykałem, o tyle jednak często, że odrazu poznać mogłem jego zapalniczkę w rękach Lataupe'a.

— Czy nie przypuszczasz, że w kieszeni tego ubrania mogło się jeszcze coś znajdować, coś takiego, coby stwierdzało identyczność właściciela tej marynarki?

— Wcale nie. Gdyby Lataupe znalazł coś podobnego, nie mówiłby o swej przygodzie wobec przyjaciela rodziny Hardych. Miałby prawo udać się wprost do sędziego śledczego, o ile nie starałby się skorzystać ze swego odkrycia, każąc płacić sobie drogo za milczenie.

— A więc uważasz, że nie domyśla się wcale doniosłości i ważności znalezionej rzeczy?

— Jestem o tem przekonany.

— Cieszę się z tego, lecz on nie będzie długo pozostawać w tej nieświadomości, jeżeli mam zażądać jego usług.

— Zależy to od tego, co zamierzasz mu poruczyć.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Moje projekty były tak chwiejne, jak dym z cygara, które w roztargnieniu zostawiłem na kominku.

— Lionel nigdy nie podobał ci się bardzo — rzekłem wreszcie, by dać sobie czas do namysłu. — I mnie również, gdym zauważył na jego twarzy w dzień śmierci ich ojca tak dziwny wyraz.

— A jednak trzy czwarte ludzi, którzy go znają, powiedzą ci, że jest to najlepszy człowiek i bez wątpienia więcej wart od swoich braci.

— Mimo jego podejrzanych wycieczek? — zwróciłem uwagę.

— Mimo wszystko. Dostatecznem jest widzieć, jak regularnie chodzi do kościoła, by przyznać mu wszelkie zalety. Mniejsza zresztą z tem, w każdym razie jest to dziwny człowiek. Musiała to być jakaś niezwykle potężna pobudka, jeżeli popchnęła do zbrodni człowieka, tak sytuowanego jak on. Czy możesz określić to, co go do tego skłoniło? Czy to był brak pieniędzy, pragnienie zupełnej swobody, by oddać się bez żadnych przeszkód swemu dziwacznemu sposobowi życia, czy też poprostu działała tu przewrotność zawziętego charakteru, dążącego do usunięcia z drogi wszelkich zawad?

— Za wiele żądasz odemnie. Mogę dostarczyć ci faktów, lecz jeżeli chodzi o wytłómaczenie ich, jest to już inna sprawa... Jakto, chcesz wyjść?

— Nie, lecz rozważyć coś należycie mogę tylko wówczas, gdy znajduję się samotny w swym gabinecie.

— Dobrze, za chwilę będziesz mógł zasiąść swobodnie wśród swych domowych bogów. Przedtem jednak pozwól mi opowiedzieć sobie szczegół, który przyczyni się do wyświetlenia ci istotnego charakteru człowieka, zajmującego nas obecnie. Nie chodzi tym razem o rzeczy słyszane, lecz o to, co widziałem na własne swe oczy.

Zeszłej jesieni przechodziłem pewnego dnia przez Cours-la-Reine, gdy nagle w poprzecznej alei ujrzałem Lionela Hardy'ego. Rozmawiał z jakąś kobietą w podartych trzewikach i obłoconej sukni. By z nią rozmówić się, wysiadł zapewne z swej karety, która opodal czekała na niego. Ponieważ filantropia jest jego bzikiem, nie było w tym fakcie nic nadzwyczajnego. Chciałem przejść obok niego bez zwracania większej na to uwagi, gdy zostałem wstrzymany bolesnym wyrazem jego twarzy. Spojrzałem uważniej na jego towarzyszkę. Była to jedna z tych nieszczęśliwych o nieprawdopodobnie jasnych włosach, wymalowanych policzkach, wykarminowanych ustach, nieładna i niezdolna do pociągnięcia za sobą nawet najmniej wybrednych. Lecz on!... Rzadko zdarzało mi się widzieć człowieka tak bardzo wzruszonego i podnieconego. Po chwili, gdy ona zrobiła ruch, jakby chciała się oddalić, przytrzymał ją, chwytając za brudny szal, okrywający jej chude plecy, lecz uczynił to z taką miną, iż zdawać się mogło, że życie jego zależy od obecności tej kobiety przy nim. Zwrócił się do niej z błagalną prośbą, na którą jednak odpowiedziała przecząco. Nie zniechęcił się tem, lecz ponowił swe nalegania, wskazując ręką na powóz. Kobieta spojrzała na ten ekwipaż i cofnęła się jakby w przerażeniu. Wkrótce jednak, gdy on nie przestawał jej prosić, zdawała się ustępować, schylając głowę. Ujrzałem wtedy dziwną scenę. Lionel Hardy dał znak stangretowi, by podjechał, po-

tem z miną wielkiego pana, podającego ramię księżniczce, podsadził ją do karety i sam siadł koło niej. Nie raczył nawet spojrzeć dokoła. Nie mogłem powstrzymać się od podziwu dla jego zimnej krwi i dla powagi jego stangreta. Służący ten w najlepszym stylu, ani nie zmarszczył się, widząc jak jego pan zaprasza do swej karety, wybitej atłasem, tę obłachmanioną kobietę.

— I pojechali? Widziałeś, jak razem odjeżdżali?

— Tak, przez chwilę pozostałem na miejscu, śledząc ich oczyma. Spostrzegłem to, iż kobieta ta nie okazywała tej swobody i obojętności, co on. Przeczuwałem, że musi się coś stać i nie omyliłem się. Ekwipaż nie odjechał odemnie na sto metrów, gdy nagle otworzyły się drzwiczki i kobieta ta wyskoczyła z nich na ulicę. Cudem tylko zachowała równowagę, iż nie upadła i szybko pobiegła w stronę mostu Inwalidów. Tym razem Lionel nie starał się jej zatrzymać. Kareta skręciła na avenue Alma. Awantura ta była jednem słowem bardzo ciekawa. Co o nim myślisz, mój drogi?

— Jest to zuch, który zasługuje, by się nim zająć. Czy zawsze jest z takiem uszanowaniem względem biednych, o których się troszczy?

Jan wzruszył przytem znacząco ramionami.

— Opowiedziałem ci jedną tylko przygodę Lionela Hardy'ego w roli filantropa. Wszystkie inne szczegóły, jakie o nim pamiętam, odnoszą się do niego, jako do syna amerykańskiego milionera.

Powróciwszy do domu, napróżno starałem się wyrozumieć i pojąć usposobienie takie, jakie miał Lionel Hardy. Po spędzeniu pół godziny na usiłowaniach pogodzenia sprzecznych z sobą rysów jego charakteru, postanowiłem iść za przykładem swego przyjaciela Jana Dorlaixa, to jest badać tylko same fakty. Naprzód chciałem sprawdzić źródło, z którego pochodziła trucizna, zadana panu Hardy'emu i w tym celu skierowałem swe wysiłki do dwóch zasadniczych punktów: stwierdzenia, że flakonik, z jakim wyszedł od matki Lepic przebrany człowiek, zawierał kwas pruski i że człowiekiem tym był nie kto inny, lecz, jak przypuszczaliśmy, tylko Lionel Hardy. Gdy te dwa fakty zostaną ostatecznie wyjaśnione, sama Genowefa będzie zmuszoną przyznać, że człowiek, który dla zdobycia trucizny nie cofa się przed udaniem się w tak podejrzane miejsce, miał ku temu ważny powód, wyświetlony już obecnie przez tragedyę, jaka się rozegrała nazajutrz w jego rodzinie. Nie wiedziałem tylko w jaki sposób przeprowadzić swe śledztwo, by nie zepsuć wszystkiego. Nie mogłem myśleć nawet o udaniu się wprost do matki Lepic. Miałem wszelkie powody do podejrzewania, iż sam jestem bacznie strzeżony przez policyę, nie śmiałem więc decydować się na taki krok z obawy, by nie zwrócić uwagi agentów na pewne fakty, które, jak uważałem, przeznaczone były tylko dla Genowefy i dla mnie. Nie miałem najmniejszego zamiaru oddawania sądom winowajcy, lecz tylko uwolnienie panny Saugey od trapiących ją wątpliwości. Nie mogąc sam tam się udać, komu więc powierzyć tę misyę? Żadne nazwisko nie przychodziło mi na myśl, a przytem nie chciałem nikomu wyjawiać swego sekretu.

Gdy tak walczyłem z własną niepewnością, nagle przypomniała mi się krytyczna chwila, gdy w ogólnem zamieszaniu i trwodze, wywołanej przez lekarza wyjawieniem istotnej przyczyny śmierci pana Hardy'ego, z rąk starego Mateusza wypadł kieliszek i rozbił się w drobne kawałki przed kominkiem w sali jadalnej. Zrodziło się teraz we mnie podejrzenie, że ten stary i wierny służący rodziny Hardych wiedział, kto wlał truciznę do kieliszka i zbił go umyślnie, by zatrzeć ślady zbrodni. Należało przekonać się, czy człowiek ten nie żywił specyalnego przywiązania do Lionela; wyjaśnienie tego faktu można jednak było zostawić na później. Narazie powróciłem do swej pierwszej myśli, a mianowicie w jaki sposób wejść w stosunki z matką Lepic. Jak już wspomniałem, nie chciałem mieszać do tego trzeciej osoby, trzeba więc było działać samemu. Lecz jak? A jeżeli wprost udałbym się do policyi o pomoc w tej wycieczce? Rozwiałoby to wszelkie podejrzenia i nawet uwolniłoby to mnie choć na chwilę od śledzenia, które napewno nademną rozciągnięto. Pomysł ten wydał mi się doskonałym. Mając nadzieję, że wszystko pójdzie mi już gładko, zasnąłem spokojnie.

Na drugi dzień zgłosiłem się otwarcie do komisarza policyi i zapytałem, czy może dać mi agenta w przebraniu cywilnem, któryby towarzyszył mi do niebezpiecznej dzielnicy, dokąd muszę się udać w sprawach swego zawodu.

— Bardzo chętnie, panie Maujean.

— Czy może mi pan go dać zaraz?

— Jeżeli pan sobie życzy.

Zadowolony z tego rezultatu, a jeszcze więcej z mało inteligentnego wyglądu przydzielonego mi agenta, skierowałem się w stronę matki Lepic. Nie poszedłem tam jednak najprostszą drogą. Musiałem udawać, że dopytuję się dopiero o miejsce, do którego zmierzałem. Zatrzymywałem się też przed najrozmaitszemi hotelikami i zawiązywałem rozmowę ze służącymi, wystającymi przed bramami swych zakładów. W ten sposób mogłem stwierdzić najzupełniejszą obojętność, z jaką mój towarzysz szedł za mną w tych poszukiwaniach. Nabrałem też nadziei, że dojdę wreszcie do zamierzonego celu bez żadnego nieprzyjemnego wypadku. Chwilami chciał on mi pomagać w mych mniemanych badaniach, ponieważ jednak nie wymieniałem żadnego nazwiska, a ograniczałem się tylko do mniej lub więcej fantastycznych opisów osoby, którą chciałem znaleść, nic dziwnego też, że starania jego nie mogły być mi użytecznemi.



— Rozumiem. Sądzisz, że udał się do tej spelunki po truciznę.

Zbliżałem się nieznacznie do zamierzonego miejsca, nie zdradzając się z tem w najmniejszej mierze. Myślałem nawet, czy nie udać się już wprost do zakładu matki Lepic, gdy niespodzianie spostrzegłem jedno ze schronisk, rozmieszczonych w rozmaitych dzielnicach przez Stowarzyszenie Pociechy Moralnej, do rozwoju którego sam się przyczyniałem, jeżeli nie przez współdziałanie czynne, jak Lionel Hardy, to przynajmniej przez datki pieniężne. Los zaczynał mi sprzyjać.

— Oto tutaj — rzekłem do swego towarzysza — dowiem się prawdopodobnie o miejscu zamieszkania kobiety, której szukam.

Dałem mu znak, by poczekał przed drzwiami, na co przystał tem chętniej, iż poczęstowałem go papierosem, poczem wszedłem do niskiej sali i zbliżyłem się z uszanowaniem do kobiety w średnim wieku, która wydała mi się kierowniczką schroniska.

— Pragnę odwołać się do pani uprzejmości — zacząłem — i zapytać, czy nie mogłaby mi pani udzielić informacyi co do pewnej osoby...

Nie dokończyłem zdania. Naprzeciw mnie, tak blisko, iż mogłem dosłyszeć rozmowę, stało dwóch mężczyzn. Jednym z nich była to osobistość, znana ze swej gorliwości działania w najrozmaitszych towarzystwach dobroczynności, drugim był Lionel Hardy. Chociaż zdziwienie moje było wielkie, wątpię jednak bardzo, by ta zacna dama spostrzegła to. W każdym razie nie okazała mi żadnej nieufności.

— Widzę tu pana Brule — rzekłem półgłosem. — On lepiej niż kto inny będzie znał sprawę, co do której chcę zasięgnąć wiadomości. Nie chcę mu jednak przeszkadzać. Jeżeli pani pozwoli, poczekam, aż będzie wolny.

— Bardzo proszę - - odrzekła dama.

Po chwili zaczęła przeglądać jakiś wielki skorowidz, leżący na biurku na drugim końcu sali, przez co dała mi możność przyjrzenia się swobodnie twarzy człowieka, o którego winie chciałem się właśnie przekonać.

Lionela Hardy'ego widziałem poraz ostatni w gabinecie sędziego śledczego, potem nie spotkałem go już ani razu. Wydało mi się teraz, że postarzał się i znacznie posmutniał. Może na zdrowie jego ujemnie wpłynęły bolesne wzruszenia tego strasznego wieczoru, a może też tę zmianę w nim sprawiły inne donioślejsze jeszcze przyczyny. Instynktownie usunąłem się cokolwiek na bok i stanąłem tak, iż pozostawałem w cieniu. Mimoto nie straciłem ani jednego słowa z rozmowy, jaka toczyła się koło mnie. Obydwaj mężczyźni rozmawiali o zebraniu, jakie miało się odbyć w głównem siedlisku stowarzyszenia. Lionel okazywał wzruszenie i niepokój, pan Brule zaś widoczny przymus, którego nie mogłem sobie narazie wytłómaczyć. Wkrótce jednak pojąłem to.

— A więc radzi mi pan, bym nie przychodził? — zapytał Lionel.

Z zaczerwienioną twarzą, ściskając nerwowo rondo swego cylindra, pan Brule odpowiedział:

— Bardzo mi przykro, że muszę panu to mówić, panie Hardy. Pan nam tak często oddawał ważne usługi i wiele zdziałał dla naszej idei. Polecono mi jednak oznajmić panu, iż pańscy koledzy proszą, aby pan usunął się z komitetu.

— Czy z powodu rozgłosu, jakiego stałem się ofiarą wskutek przykrych okoliczności, otaczających śmierć mego ojca?

— To nie to jest przyczyną. Pozwoli pan, że będziemy rozmawiali otwarcie. Doszło do naszej wiadomości, iż pan wynajął w Asnieres maleńki domek...

— Ach! — westchnął głęboko Lionel, podnosząc nerwowo rękę do szyi, jakby dla odpięcia ściskającego go kołnierzyka.

— Wie pan, że występek nie przestrasza nas. Wyciągamy ręce po grzeszników tak nisko, jak oni upadli. Zrozumie nas pan jednak łatwo, iż nie możemy tolerować podobnego skandalu, którego ujemne skutki odbiłyby się na całem naszem towarzystwie. Jakieżby szalone plotki powstały z powodu takiej hypokryzyi?

Jakiś zagadkowy uśmiech zjawił się na ustach Lionela, który ku memu wielkiemu zdumieniu odpowiedział raczej ze smutkiem, niż z gniewem.

— Ten mały domek jest pusty obecnie. A czy nie przyszło panu przypadkiem na myśl, że i moje serce może jest takie?

Pan Brule w coraz większem zakłopotaniu, nie wiedział, co na to odrzec. Wreszcie odparł tonem stanowczym:

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zgon weterana Radeckiego.

Bolesny cios dotknął przed paru dniami cenionego i sympatycznego artystę dramatycznego teatru lwowskiego, p. Ferdynanda Feldmana. Oto w Krakowie zmarł ojciec jego, Herman, sędziwy emeryt, uczestnik wielu bitew z czasów Radeckiego i jeden z ostatnich jego weteranów, odznaczony siedmiu orderami, w tem krzyżem zasługi z koroną.



Zgon weterana Radeckiego: Herman Feldman.

Zmarły weteran był postacią ogólnie znaną w Krakowie, cieszył się też tu sympatyą i poważaniem z powodu niezwykłych zalet charakteru.

Z powodu zgonu sędziwego ojca przesyłamy osieroconym synom wyrazy serdecznego współczucia.

Groźna epidemia wśród murzynów.

(Do illustracyi na stronie 10)

W niemieckich koloniach wschodnio-afrykańskich pojawiła się niedawno choroba, której ofiarą padały setki tubylczej ludności murzyńskiej. W przeciągu krótkiego czasu wymarły całe osady mimo zabiegów lekarskich i pomocy rządu niemieckiego, który nie szczędził kosztów, by epidemii zapobiedz. Wysłano ekspedycyę naukową, złożoną ze specyalistów lekarzy, którzy mieli zbadać rodzaj epidemii, szerzącej się straszliwie głównie nad brzegami olbrzymiego jeziora Wiktoryi.

Ekspedycya ta skonstatowała, że spustoszenie, wywołane tą chorobą, jest poprostu straszne, a co gorsza, że grozi wyludnieniem kolonii niemieckich na wschodniem wybrzeżu Afryki.

Dzięki tej ekspedycyi zbadano też rodzaj i charakter tej choroby epidemicznej, zwanej „śpiączką“, odkryto jej przyczynę i wynaleziono środki, zapobiegające jej szerzeniu się. Przedewszystkiem zdołano odnaleść w rdzeniu pacierzowym chorego zarazki, które ułatwiły dalsze poszukiwania. Odkryto mianowicie muchę, zewnętrznie bardzo podobną do naszej muchy domowej, jako czynnik, przenoszący zarazki z jednego człowieka na drugiego. Mucha ta wysysa z krwią człowieka, zarażonego „śpiączką“, zarazki i na ssawce przenosi je do krwi innego człowieka. Much tych żyją miliony na terenach błotnistych.



Rozrywki młodzieży warszawskiej: Uczniowie szkoły Wróblewskiego wyruszający czwórkami na wycieczkę do Morysinka.

Pierwszym objawem tej choroby jest puchnięcie gruczołów limfatycznych, jak to widać na naszej rycinie, przedstawiającej chorego murzyna. Ukąszony przez muchę nosi niejednokrotnie w sobie zarazki przez kilka lat, aż choroba dojdzie do takiego rozwoju, a zarazków, rozwijających się w krwi i mieszczących ciałka krwiste, nazbiera się taka ilość, że życiu zarażonego grozi niebezpieczeństwo.

Ekspedycya naukowa zdołała też wynaleść środek, zapobiegający szerzeniu się zarazka w krwi zarażonego i przenoszeniu zarazka przez muchy na innych ludzi. W barakach, pobudowanych nad brzegami jeziora, leczy się tysiące rodzin murzyńskich, a zamknięcie okolic, objętych epidemią, pasem stacyi obserwacyjnych, pozwala przypuszczać, że walka, podjęta z epidemią, przyniesie dodatnie rezultaty.

Prócz tego podjęto walkę z muchami, jako z roznosicielami zarazków tej groźnej epidemii. Polecono ściąć i spalić wszystkie krzaki nadbrzeżne, w których przesiadują te muchy i gdzie w błotach składają swe jajka.

W ten sposób spodziewa się rząd niemiecki uchylić poważną groźbę wyludnienia się kolonii afrykańskiej.

„Ochrana“ na kolejach w Królestwie.

W ubiegłym tygodniu przejechał przez Królestwo, w kierunku od Aleksandrowa do Brześcia, cesarz Mikołaj II. Z tego powodu linie oraz stacye, którędy przejeżdżał pociąg cesarski, gęsto obsadzono wojskiem, a na dworzec nikogo obcego niedopuszczono.

Na wszystkich większych stacyach stały specyalne pociągi, w których mieszkała „Ochrana“, oficerowie i szeregowcy.

Taki pociąg mieszkalny na jednej ze stacyi pod Warszawą przedstawia nasza rycina.



„Ochrana“ na kolejach w Królestwie: Pociąg mieszkalny dla wojska i żandarmeryi.

„Goniec“ przed sądem.

Redakcya „Gońca“ w głośnych swych rewelacyach p. t. „Z za kulis Magistratu“, wspominała między innemi, że niejaki p. Gliński, majster zarządu miejskiego, „przywłaszczał“ sobie cement miejski, drzewo, korzystał z robotników miejskich na rachunek kasy miejskiej i t. p.

Obrażony tem p. Gliński, wytoczył p. W. Trzebińskiemu, odpowiedzialnemu redaktorowi „Gońca“, sprawę o potwarz. Sprawa obudziła w całem mieście dużą sensacyę.



„Goniec“ przed sądem: Redaktor Wincenty Trzebiński.

Po przesłuchaniu całego szeregu świadków, którzy zeznawali na korzyść oskarżonego redaktora, rozprawa zakończyła się wyrokiem, uwalniającym podsądnego od winy i kary. Rozprawie przysłuchiwał się jeden z urzędników ministerstwa, jacy przyjechali na rewizyę senatorską do Warszawy z senatorem Garinem.

KRONIKA TYGODNIOWA.

(Hannibal ante portas! — Deficyt w austryackim budżecie i środki na jego załatanie. — Menelik a nowe podatki. — Radość sufrażystek. — Sprawa drożyzny. — Rozwiązanie, czy odroczenie? — Uległość Koła polskiego i nagroda za to. — Marchet o kanałach. — Obchód Słowackiego we Lwowie i złośliwość komitetu. — Coś niecoś z szerszej polityki).

Doczekaliśmy się wreszcie tego, co w natchnieniu proroczem przepowiedziałem przed kilku tygodniami. Zamiast *Hannibal ante portas,* możemy powiedzieć: § 14 w drodze!

Sesya Rady państwa, która zaczęła się bardzo jałowo i zapowiadała się dość spokojnie, z czasem zmieniła swój charakter i jak dziś można prawie stanowczo twierdzić, będzie na dłuższy czas odroczoną. To ostatnie słowo pociesza posłów, w czasie bowiem odroczenia płaci się dyety, a obecnie z powodu zbliżania się zimy, pieniędzy posłowie potrzebują gwałtownie. Bienerth, któremu grunt usuwa się na każdem miejscu pod nogami, ratuje się, jak może, ale kto wie, czy i jego dni nie są policzone! Zaczęło się od *exposé* ministra finansów, z którego dowiedzieliśmy się (o czem zresztą wiedzieliśmy już od dawna), że austryacki budżet zaniemógł na galopujące suchoty, nazywające się w finansowym języku deficytem. Deficyt ten, obliczony początkowo na 40 milionów koron, wygląda jednak daleko poważniej i dziś już notują wiedeńskie pisma sto dziewięćdziesiąt ośm milionów koron, na które niema pokrycia. Aby było mniej, oblicza się na guldeny. Pan minister skarbu, który wysila swą głowę na to, aby załatać ową budżetową dziurę, ma tekę, pełną nowych finansowych projektów, niestety, nie będą one mogły być zrealizowane, gdyż do uchwalenia nowych podatków konieczne jest zezwolenie parlamentu, a ten układa się właśnie do snu zimowego. Rozporządzenie ministeryalne w tym wypadku nie wystarczy. Dzięki Bogu! Powie każdy z pewnością, jeśliby bowiem z nowymi podatkami można się było tak w krótkiej drodze uwinąć, mielibyśmy już opodatkowane prawdopodobnie nawet i powietrze.

W pierwszej linii proponuje pan minister podatek od zapałek, potem idzie podatek spadkowy, od wód mineralnych naturalnych i sztucznych, od wódki, kawalerski, od tantyem i dywidend i wiele, wiele innych. Gdy się poczciwy Menelik dowiedział o tych projektach Bilińskiego, z radości, że nie jest poddanym austryackim, dostał udaru sercowego, z którego go jednak uratowano! Ostatecznie, myśli sobie każdy c. k. podatnik, bez zapałek obejdziemy się jako tako, byle były pieniądze na drzewo i węgle, będzie się utrzymywać w domu wieczne ognisko, a do papierosa nie odmówi przecież nikt ognia na ulicy. Spadku, przynajmniej ja, wcale się nie obawiam, swoim spadkobiercom zaś, prócz długów i starej garderoby, nic nie zostawię, więc i płacić od tego podatku nie będą potrzebowali. Gdyby jednak okoliczności tak się złożyły, że zaświtałaby mi nadzieja jakiego spadku, uroczyście zobowiązuję się przekazać go w całości jego ekscellencyi panu ministrowi skarbu, aby był pierwszym szczęśliwcem, który zapłaci podatek spadkowy. Co się tyczy podatku od wód mineralnych naturalnych i sztucznych oraz wody sodowej, uważam go za zupełnie uzasadniony, zdrowi bowiem piją zazwyczaj piwo, a tylko chorzy kurują się różnymi Hunyadymi, Rakoczymi i innymi specyfikami. Biedny człowiek chorować nie może i nie powinien, na taki zbytek może sobie pozwolić tylko bogaty, a temu znowu nie zrobi różnicy te kilka grajcarów, jakie więcej zapłaci na każdej flaszce. Natomiast podatek od wódki, to już wymysł iście szatański, godzący w nasze najżywotniejsze sprawy. Ta biedna propinacya, która w krótkim czasie zamknie już swe oczy, jeszcze w ostatnich dniach swego żywota narażona jest na takie srogie prześladowania, a nie znajdzie się nikt, ktoby stanął w jej obronie! Bieda z tymi ministrami rodakami! Ś. p. Dunajewski opodatkował nam naftę, Biliński zabiera się do wódki i innych płynów. Wartoby postawić się ostro, jak to zrobili Czesi i Niemcy w sprawie opodatkowania piwa, a może pan minister przecież by ustąpił...

Jedne sufrażystki zadowolone są z podatku starokawalerskiego, który wzmoże ochotę do stanu małżeńskiego pomiędzy płcią brzydką i zmniejszy ilość starych panien. Biuro statystyczne wykazuje dla samego Krakowa 38% dziewic, wzdychających do więzów hymenu i to powyżej czterdziestu lat życia. Konieczne wówczas będzie założenie rządowych lub autonomicznych biur pośrednictwa małżeństw, co również może przynieść pewien dochód i przyczynić się do sanacyi finansów.

To są refleksye, jakie nasuwają się każdemu, kto czyta wiadomości pism codziennych o nowych projektach finansowych pana ministra, a sądzę, przyzna mi każdy, że zupełnie trafne. Sprawą tantyem i dywidend, które mają być również opodatkowane, zajmować się nie myślę, są one bowiem udziałem tylko ludzi bogatych, a tych to nie zaboli, jeśli więcej zapłacą, bo mają z czego!

W dowód uznania za tę gorliwą pracę nad uzdrowieniem austryackiego budżetu, radzono panu ministrowi, aby się podał do dymisyi, oświadczył jednak, że choć ma kufry spakowane, na razie o tem nie myśli, gdyż chwilowo zajęty jest wyszukiwaniem nowych projektów, mających uszczęśliwić ogół c. k. podatników.

W dziwnej sprzeczności z temi staraniami pana ministra stoją oświadczenia rządu, który rzekomo myśli o ulżeniu nędzy i drożyźnie. Z jednej strony ubolewa się nad niedolą ludności i szuka się środków zapobiegawczych, z drugiej zaś bez litości śrubuje się podatki i to od takich artykułów, które są niezbędne w życiu codziennem. Choćby komisya, wybrana z łona parlamentu, obradowała w permanencyi nad zapobieżeniem drożyźnie, na nic się to nie przyda, jeśli codziennie, jak grzyby po deszczu, rosną nowe projekty i to jedne potworniejsze od drugich. Parlament zgadza się na wszystko, jeśli zaś posłowie okazują niechęć, grozi się im skreśleniem z budżetu pozycyi, dla odnośnych krajów nieodzownych. I to jest ów kaganiec, czy wędzidło, które poskramia malkontentów.

Te projekty ministra skarbu, o których szeroko pisano i mówiono w całym kraju, przyczyniły się częściowo do ostudzenia zapałów poselskich, zaczęto się nad nimi zastanawiać i debatować, a tymczasem pan Bienerth miał zaprowadzić miłą zgodę między Czechami i Niemcami. Usiłowania spełzły na niczem, gdyż niemieccy szowiniści prą do przeprowadzenia sankcyi ustaw językowych dla kilku krajów austryackich. Pod presyą Niemców gabinet zgodził się na przedłożenie natychmiast odnośnych uchwał cesarzowi do zatwierdzenia, obaj zaś ministrowie czescy zgłosili natychmiast swą dymisyę, a sytuacya niepomiernie się zaostrzyła. Nie pozostało nic innego, jak zgodzić się na dymisyę, parlament zaś, który okazuje się zupełnie niezdolny do pracy, rozwiązać lub przynajmniej odroczyć, aby tymczasem na podstawie paragrafu czternastego załatwić najważniejsze konieczności państwowe. Czy nastąpi odroczenie, czy rozwiązanie, zapadnie w tych dniach decyzya, ja, o ile mnie to dotyczy, życzyłbym im rozwiązania, nie biorąc bowiem dyet, ostygliby bardzo prędko w zapałach. Przyczyniłoby się to także i do podniesienia przemysłu krajowego, w czasie nowych wyborów wielki odbyt miałaby kiełbasa wyborcza i ów drogocenny trunek, zwany pospolicie sznapsem, na który zagiął parol pan Biliński. Nowi panowie, kandydujący do parlamentu, mieliby sposobność obiecać narodowi wiele pięknych i przyjemnych rzeczy, choć w rezultacie pokazałoby się, że i oni tak samo, jak ich poprzednicy, ograniczają się tylko na samych obietnicach.

W takich, jak obecne, warunkach, przy ciągłem ścieraniu się w parlamencie wpływów niemieckich i słowiańskich o jakiejś pozytywnej pracy niema ani mowy, poprostu szkoda tych pieniędzy, jakie się wydaje na puszczenie w ruch tej machiny państwowej. Rzecz prosta, niemieckie wpływy zwyciężają i to, niestety, niejednokrotnie przy pomocy Koła polskiego, jak to mieliśmy obecnie sposobność skonstatować z okazyi sankcyonowania ustaw językowych. Jak zaś wygląda potem wdzięczność centralnego rządu za to wysługiwanie się, możemy znów poznać z enuncyacyi mężów, dzierżących ster polityki i oddanych im organów prasy. Jakby odpowiedź na głosowanie w Radzie koronnej, w którem obaj ministrowie Polacy oddali swe głosy za natychmiastowem wprowadzeniem wyłączności języka niemieckiego w kilku prowincyach austryackich, ogłoszono inauguracyjną mowę rektora Marcheta, brata byłego ministra, który oświadczył się stanowczo przeciw kanałowi Dunaj-Wisła i regulacyi Wisły koło Krakowa, a zatem i przeciw zabezpieczeniu miasta przed powodzią. Radzi natomiast budowę kanału Dunaj-Odra, motywując swe majaczenia tem, że przemysł austryacki może być zagrożony, gdyby przystąpiono do wprowadzenia w czyn projektu, tworzącego tanią a wygodną drogę wodną, którąby z Rosyi mogły napływać do Austryi tak materyały surowe, jak i wytwory tamtejszego przemysłu. Ciekawy jestem, co na to nasi panowie posłowie, którzy się zawsze tem tłómaczą, że Rząd sprzyja krajowi i dlatego oni muszą znów Rządowi iść na rękę... A tymczasem widzimy, jak wygląda to sprzyjanie, które ogranicza się także do gołosłownych, a pięknie ocukrzonych obietnic, czekających zwykle długie lata na zrealizowanie.

W szeregu uroczystości ku czci Słowackiego pierwsze miejsce zajął obchód, urządzony we Lwowie. Kraków został przez c. k. stolicę kraju zupełnie zdystansowany i pozostał w tyle na długość kilku ogonów... Obchód to był rzeczywiście wspaniały, wzięły w nim udział wszystkie warstwy społeczeństwa i przedstawiciele władz, ba nawet nie pozostali w tyle arcybiskupi i biskupi, którzy widocznie nie podzielają zapatrywań krakowskiej eminencyi. Zauważyłem nadto, że nasi bracia Lwowianie są dość złośliwi i troszkę pokpiwają sobie ze starego Krakowa. Przekonaliśmy się o tem z tenoru aktu położenia kamienia węgielnego pod pomnik Słowackiego, w którym zamieszczono zdanie następujące: „Onegoż więc roku... w chwili, gdy Kraków, prastara stolica Jagiellonów, pod świeżem zostaje wrażeniem *olbrzymiego hołdu,* cieniom poety przez mieszkańców swoich złożonego...“ Kto był w Krakowie i brał udział w obchodzie, a niestety takich było bardzo mało, wie, że owa wzmianka jeśli nie została złośliwie pomieszczoną, to przynajmniej jest przesadzoną, krakowski obchód był bowiem tylko parodyą podobnych uroczystości, wywołującą conajmniej niesmak, jeśli nie politowanie dla inicyatorów, którzy zupełnie fałszywie wywiązali się ze swego zadania. We Lwowie był nawet bankiet, o czem, jak wiadomo, w Krakowie zapomniano.

Z większem natomiast zainteresowaniem śledzimy obecnie przebieg polityki zagranicznej, która w ostatnich czasach nie daje spać spokojnie naszym mężom stanu. Oficyalnie ogłoszono, że trójprzymierze pozostanie i nadal w swej mocy i w odpowiednim terminie, tj. w r. 1912 będzie i nadal prolongowane, natomiast jednak Włochy postawią inne, niż dotychczas warunki, gdyż dzisiejsze im nie konweniują. Coraz częściej słyszy się także i o europejskiem trójporozumieniu, które ma być przeciwwagą trójprzymierza. Że sytuacya jest nad wyraz poważną, można skonstatować już z tego, iż cesarz Wilhelm, bawiąc we Frauenburgu z okazyi odsłonięcia pomnika Kopernika, wykonanego wedle jego artystycznych wskazówek i z jego poprawkami, nie popełnił żadnej mowy, widocznie więc albo się gniewa na Kopernika, jak Puzyna na Słowackiego, albo też rozmyśla nad jakimś wielkim projektem, mającym wprawić w podziw całą Europę. Pierwsza wieść wydaje mi się być prawdopodobniejszą ze względu na ogłoszony niedawno list Kopernika, odnaleziony rzekomo w Upsali, w którym nazywa Krzyżaków zbójami i ludźmi występnymi. Ponieważ zaś tradycye krzyżackie propagują dalej dzisiejsi politycy zjednoczonych Niemiec, nic dziwnego, że i ich władca mógł się uczuć obrażony; zaprojektował brzydki pomnik i przy otwarciu ani słowa nie powiedział. W Serbii po przesileniu ministeryalnem trwa ciągle przesilenie finansowe, z którego ani rusz nie można wybrnąć, w Grecyi wybuchła rewolucya wojskowa, której jednak szybko łeb ukręcono. Turcyi sprawia ciągle kłopot Abdul Hamid, który nie chce w żaden sposób siedzieć w Salonikach, twierdząc, że mu na stare lata klimat macedoński nie służy. Król bułgarski Ferdynand, aby pokiwać Turkom palcem w bucie, odwiedził Serbię i wyściskał się z następcą tronu, Aleksandrem, manifestując w ten sposób skłonność i sympatyę dla konferencyi bałkańskiej, co jest również znamiennym objawem polityki młodej Bułgaryi.

Te wszystkie sprawy niepokoją opinię publiczną, dla dziennikarzy stanowią zaś znakomity materyał do zapychania szpalt różnemi sensacyami, jeśli bowiem niema materyału z miejscowych stosunków, robi się wielką politykę i stawia się horoskopy na przyszłość, które jednak po większej części zazwyczaj się nie spełniają.

X.

Dymisya czeskich ministrów.

Anormalne stosunki parlamentarne w Austryi doprowadziły obecnie do dymisyi dwóch ministrów czeskich, dr. Brafa, ministra rolnictwa i dr. Żaczka, ministra rodaka. Bezpośrednim powodem ich ustąpienia była uchwała rady gabinetowej, aby przedłożyć do sankcyi cesarskiej ustawy językowe, zwracające się przeciw słowiańskiej ludności, a przyjęte przez cztery sejmy krajów austryackich. Wspomniane uchwały sejmowe spotkały się u ludów słowiańskich z ogólnem potępieniem, zwłaszcza wśród Czechów, przeciwko którym przedewszystkiem są zwrócone.



Dymisya czeskich ministrów: dr. J. Żaczek.

Jasną było rzeczą, że w gabinecie, który uchwalił te ustawy przedłożyć do sankcyi, ministrowie czescy zasiadać nie mogli. Żal tylko, że polscy ministrowie nie zdobyli się na tyle odwagi cywilnej, by głosować przeciw niemieckiej większości i zrazili sobie w ten sposób znowu na dłuższy czas cały naród czeski.

Bo Czesi takie rzeczy długo pamiętają i jeśli kiedyś w przyszłości Kołu polskiemu potrzebne będą głosy klubów czeskich, przypomną mu niezawodnie stanowisko, zajęte przez ministrów polskich w tej sprawie.

Niesłychana buta niemiecka, której wyrazem są antisłowiańskie ustawy sejmowe, wywoła w całych Czechach ogromne oburzenie, jakiemu i ludność i posłowie dają wyraz na zgromadzeniach, urządzanych we wszystkich większych miastach. Na zgromadzeniach tych zwracają się posłowie czescy z gorzkimi wyrzutami przeciw przywódcom Koła polskiego, którzy dopuścili do tego, by polscy ministrowie głosowali razem z niemieckimi na szkodę Słowiańszczyzny.

Cała ta sprawa jest smutnym epilogiem pamiętnych „Dni słowiańskich“ w Pradze i wycieczki czeskiej do Krakowa i Często howy.

Wyścig myśliwski w Przemyślu.

Wyścigi myśliwskie, ongiś mające w Polsce tak licznych zwolenników, dziś znajdują jeszcze tylko w korpusach oficerskich gorących i zapalonych amatorów. A jest to przecież jedna z najprzyjemniejszych i najwięcej emocyi dających rozrywek sportowych.

W Przemyślu, jako siedzibie komendy korpusu, grono oficerów 30 pułku artyleryi korpuśnej, stacyonowanego w Pikulicach pod Przemyślem, zainicyowało urządzenie pułkowego wyścigu myśliwskiego. Wśród oficerów pułku myśl ta spotkała się z ogólnym aplauzem, czego dowodem choćby pokaźna liczba uczestników, którzy w sobotę d. 30 października stanęli u startu.

Punktualnie o godz. 11 przed południem w Nehrybce, skąd bieg się rozpoczynał, znalazło się na starcie 15 uczestników wyścigu. Teren dość trudny, urozmaicony przeszkodami, był jakby stworzonym pod wyścig myśliwski. Zaznaczyć należy, że uczestnicy wyścigu tem większą mieli satysfakcyę, że nie znali terenu wyścigu i nie wiedzieli — jak to zazwyczaj bywa przy takich biegach na przełaj — gdzie może znajdować się meta.

Jeźdźcy, wyruszywszy z Nehrybki, najpierw zwolna i ostrożnie, a następnie w coraz ostrzejszem tempie jechali przez Hermanowice, Optyn ku Grochowcom, biorąc z wielką brawurą i sprawnością napotykane po drodze przeszkody. Wyścig trwał 42 minut. Pierwszy u mety stanął podporucznik Radl, drugim był chorąży Reiner, trzecią nagrodę zdobył porucznik Ziegele, a czwartą porucznik Śliwka. Z rycin naszych, jedna przedstawia uczestników wyścigu u startu w Nehrybce, a druga czterech zwycięzców.



Fot. M. Todt, Przemyśl.

Wyścig myśliwski w Przemyślu: Zwycięzcy (od strony lewej ku prawej): podpor. Radl 1, chorąży Reiner 2., porucznik Ziegele 3., porucznik Śliwka 4.



Fot. M. Todt, Przemyśl.

Wyścig myśliwski w Przemyślu: Uczestnicy wyścigu na starcie w Nehrybce.

„Zaduszki“ w Warszawie.

Dzięki uroczej, niepamiętnej wprost pogodzie jesiennej w Zaduszki, zgromadziło się na cmentarzach warszawskich około 300.000 osób. Zarząd tramwajów uruchomił cały tabor, pomimo to jednak nie mógł przewieść wszystkich, którzy się do elektrowozów cisnęli.

Na Powązkach przybyło wiele pomników nowych, wiele mogił na cmentarzu na Brudnie, związanych z wypadkami ostatnich lat...

Na Powązkach w ciągłem oblężeniu był grób Pięciu Poległych. Każdy przybywający na cmentarz po odwiedzeniu grobów drogich sercu osób, czuje się w obowiązku odwiedzić mogiły pięciu męczenników narodowych.



Dymisya czeskich ministrów: dr. A. Braf.

W utrzymaniu grobu zaszła w ostatnich latach pewna różnica. Do niedawna mogiłę Pięciu Poległych poznawało się po tem, że jej — ściśle mówiąc — wcale nie było. Nietylko zwykłego kształtu mogiły nie było wolno nadać, ale nawet wianka, ani kwiatka rzucić... Pusty, goły plac, równo splantowany wskazywał, że tu kryją się szczątki drogich sercu każdego Polaka bohaterów...

Dziś o tyle się zmieniło, że choć wiankami i zielenią znaczy się mogiła Pięciu Poległych, a przybita na sąsiedniem drzewie tablica metalowa głosi: *„Tu spoczywa Pięciu Męczenników za sprawę Ojczyzny poległych roku 1861. Składają im hołd — współcześni.*

Może, gdy się czasy zmienią na lepsze, miejsce ich spoczynku będzie można godniej oznaczyć....

Zdjęcie nasze przedstawia to smutne miejsce w dzień Zaduszek.



„Zaduszki“ w Warszawie: Grób Pięciu Poległych na cmentarzu Powązkowskim.

Zakończenie sezonu sportowego w Krakowie.

W ubiegłą niedzielę wystąpili w Krakowie po raz pierwszy do match'u publicznego *Cracovia Juniores*. W białych switezach, z czerwonemi wypustkami i w czarnych spodeńkach, z miną pewną i rezolutną, zrobiła ta młoda drużyna na licznie zebranych widzach sympatyczne wrażenie.

Przeciw nim do walki o lepsze wystąpili goście z Wadowic „Skawa I“. Rozbudzenie ruchu sportowego w Wadowicach przypadło przed 2 laty w udziale Cracovii“ i przyznać wypada, że goście wadowiccy przedstawiają materyał na wcale dobrą drużynę. Aczkolwiek — jak to było do przewidzenia — „Skawa“ musiała uledz przewadze *Juniorów*, trenonowanych przez „Cracovię I“, jednak goście wadowiccy wykazali, że przy należytym trainingu mogliby stać się poważnym przeciwnikiem.

Ostateczny wynik 7 : 2 na korzyść „Juniorów“. Na zakończenie jesiennego sezonu sportowego pokazała „Cracowia“ swój dorobek w osobach „Juniorów“ i otwarcie trzeba powiedzieć, że „Juniorzy“ z czasem godnie zastąpią starych graczy z „Cracovii I“.



Zamordowanie japońskiego dyplomaty: Książe Hirobumi Ito wraz z swą rodziną.

Głosy publiczne.



Zakończenie sezonu sportowego w Krakowie: Drużyna „Skawa I“ z Wadowic (w czapeczkach) i „Cracovia juniores“.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 43.

Logogryf: Jan Gall.

Krzyż magiczny: Parka, stery, homar, Katon, Kreml, ekran.

Zadanie do przestawienia: Nie wścibiaj nosa do cudzego trzosa.

Szarada: Polak.

Zagadka: Ikar, Raki.

Logogryf: Jak cię widzą, tak cię piszą.

Krzyż magiczny: Turenne, Zwardoń, Byczyna, utracić pierzel, Van, Dyck.

Logogryf: Deotyma.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: O. Górkowa Chyrów, J. Brzeziński Tarnopol. M. Szkodzińska Łódź, K. Fuchs Czeremchów, W. Rapacz Zarki, M. Kościński Żarki, A. Marcinkiewicz Kraków, L. Wąsowicz Lwów, G. Gryziecka Rzeszów, M. Lesińska Łódź, W Aleksandrowicz Krosno, J. Pick Warszawa. M Oszacki Kraków, Bolesław Michalec Światniki, Fr. Urban Częstochowa, J. Macieliński Łódź. W. Latoszyński Kraków, J. Chmielewski Lwów, B Lindenbaum Czerniowce, J. Kasperski Kołomyja, H. Lewicka Rzeszów, Z. Lipczyński Płock, H. Kalinowska Staszów, M. Horak Oświęcim. T. Nikiel Kraków, J. Grzywiński Przemyśl, M Planecka Kraków. F. Gebhardt Kraków, W. Łopatkiewicz Rzeszów, S. Jagodzińska Przemyśl, L. Smagowicz Tarnów, W. Liskowacki Tarnów, W. Grabowski Rozwadów. J. Lekczyński Kulparków, K. Gross Wiśnicz, M. Rozwadowska Warszawa, S Link Rzeszów, L. Romański Warszawa, H. Herz Tarnów. I. Gronner Kołomyja, W. Rojek Zakopane, G. Zalewska Płock, M Jarzyna Lwów, Z. Schwarz Kraków, J. Klappholz Rzeszów, A. Augustynowicz Kraków, S Zaremba Kraków, L. Olejak Morawska Ostrawa, W. Gliwa Kraków, M. Piękoś Brody. J. Jahoda Cieszyn, G. Bernstein Wiedeń, J. Brzeziński Kraków, J. Schmidt Stanisławów.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **S. Jagodzińska Przemyśl.** Upraszamy o nadesłanie 35 h. na koszta poleconej przesyłki.

TRADE MARK GRAMMOPHON

a. **Gramofon** prawdziwy jest zaopatrzony marką „aniołek“.

b. **Gramofon** z aniołkiem gra zupełnie bez szmeru.

c. **Gramofon** z aniołkiem gra też bez igieł.

d. **Gramofon** z aniołkiem jest przez światowych znawców uznany za najlepszy.

e. **Gramofon** z aniołkiem gra, śpiewa, mówi i śmieje się.

f. **Gramofonowe** płyty z aniołkiem nie charczą i nie syczą.

g. **Gramofonowe** płyty z aniołkiem prawie nie z używają się.

h. **Gramofonowe** płyty z aniołkiem wydają głos miękki i przyjemny dla ucha.

i. **Gramofonowe** płyty można wysłuchać nie potrzebując zatykać uszu.

j. **Gramofonowe** płyty z aniołkiem dwustronne kosztują 4 korony.

k. **Zonofanowe** płyty dwustronne kosztują 2 korony 50 hal.

DIE STIMME SEINES HERRN TRADE-MARK

Opera w domu!

TRADE MARK GRAMMOPHON

Nowe zdjęcia polskie.

Wł. Floryański. Lwów.
V* 2-62221 „Czarowna cicha noc majowa“, Galla
2-62222 „Modlitwa uciemiężonych“.

J. Stern. Warszawa.
V* 2-62082 „Gdy człek polski“ polonez Kurpińskiego.
2-62087 Marsz Sekelow
V* 2-62083 Żal za Ukrainą.
2-62085 Flisacy Münchheimera.
V* 2-62084 W głos serdeczny, dumka Kratzera.
2-62086 Dwie Zorze.
V* 2-62072 Maciek.
2-62078 Kaj się działy one lata.

J. i Marya Stern Warszawa
V* 64410 „A witajcie, jak się macie“.
2-62068 Owczarek.

Kwartet. Warszawa.
V* 64906 „Bóg zawitał“, kolęda.
64907 Święty Boże“, Suplikacye.
V* 63595 „Hej bracia czy śpicie“, kolęda.
64910 „Ave Maria“, Treschla

M. Tokarska. Warszawa.
V* 63605 Oj-cip-ci oberek aż do rana.
63609 Mimotte.

A. Fertner. Warszawa.
V* 61201 Powrót taty, dyalog.
61202 Na srebrnej sali. dyalog.

Fertner i Bielska Warszawa
V* 61204 Kłucie w boku, dyalog.
61207 U kabalarki.
M 040564 Potpouri z „Rozwódki“ cz. I. L.Falla.
040565 Część II.
M 040574 Potpouri z „Manewrów jesiennych“ część I. E. Kalmana.
040575 Część II.

M 040120 Marsz żałobny Szopena. 040121 Fantazya z „Romea i Julii“ Gounoda.
M 040118 Fantazya z „Rigoletta“, Verdiego, część I.
040119 Część II.

L. Slezak i Hermina Kittel
M 044132 O Carmen jedno tylko słówko z „Carmen“ Bizeta.
044133 Szybkie kroki z „Zaczarowanego fletu“. Bizeta.

Greta Forst, Artur Preuss, Fryd. Weidemann i chór c. k. nadwornej opery.

Leon Slezak, c. k. śpiewak nadworny.
C 2-52713 Serenada Tostiego.
4-42274 Ciekawy Szuberta.

Selma Kurz c. k. nadworna śpiewaczka.
C 53564 O przyjemnych wieńcach z kwiatów, z „Traviaty“ Verdiego.
C 53565 „Bywajcie zdrowi“, z „Traviaty“ Verdiego.

Piano Alfred Grünfeld c. k. skrzypek nadworny.
C 45562 Menuet Paderewskiego
45563 Polka Colibri z „Światowca“ A. Grünfelda

Nowe zdjęcia Carusa.
M 052158 „Andrea Chenier“: Un di all' azzuro spazio Giordana.

F. J. Schaljapin, bas cesarskiej nadwornej opery.
M. 022095 Serena Mefista z „Fausta“ Gounoda.

Mattia Battistini, baryton.
M 052141 „Ernani“, O dei verd'anni miei Verdi.

Maria Galvany, sopran i Titta Ruffo, baryton.
M 054100 Płacz o płacz z „Rigoletta“ Verdiego.

Tow. Akc. Gramofonów w Londynie.

Jeneralny zastępca dla Galicyi i Śląska

JÓZEF WEKSLER

Lwów, Sykstuska 2. Telefon 2053/II.
Kraków, Grodzka 71. (obok Wawelu) Tel. 641.

Ciągnienie już 1-go grudnia!

Losy tureckie 400 frank.

Główna wygrana **600.000** frank.

6 ciągnień rocznie! Najmniejsza wygr. 240 franków. Na 36 spłat miesięcznych po 7 Kor., 2 Rbs. 78 kop.

Ciągnienie nieodwołalnie 2 grudnia 1909!

Loterya pokojowa po 1 kor.

Kto kupi 2 losy, parzysty i nieparzysty, musi wygrać. — 300.000 losów = 150.133 wygran.

wartości 200.000 K

Pierwsze 3 główne wygrane **w gotówce.**

Cena losu 1 korona.

6 losów za $5^1/_2$ Kor., 11 losów tylko 10 Kor., 3 Rbs. 92 kop. poleca

Kantor wymiany „Merkury“ Braci Eibenschütz
w Krakowie, Rynek gł. 5.

Za 10 koron
miesięcznie
dostarcza
w abonamencie

UBRANIA MĘSKIE

według systemu angielskiego na miarę specyalnie zrobione.

M. Marek
LWÓW,
ul. Sykstuska 29.

Prospekty na żądanie gratis i franko.
Przy zamówi niu prospektu proszę o dokładne podanie adresu i stanowiska.

Zawiadomienie!

Mam zaszczyt zawiadomić Szan. P. T. Publiczność, iż istniejącą **od lat 20-tu**

RESTAURACYĘ i KAWIARNIĘ

przeniosłem z lokalu przy ulicy Lubicz 1 naprzeciwko, **do domu własnego**

przy ul. Pawiej 2
(róg ul. Basztowej).

Lokal urządzony jest z **komfortem** i odpowiada wszelkim wymogom hygieny. — Dziękując za dotychczasowe poparcie polecam się nadal łask. względom Szan. PT. Publiczności.

Bernard Rosenstock.

Tanio! Tanio!

Magaz n wysyłkowy
Braci Towarnickich
LWÓW,
Kopernika l. 17.

Wysyła **darmo** wszelkie wzory jak:
PŁÓCIEN, BIELIZNY stołowej, damskiej, męskiej.
Materye na kostyumy i t. p.
KOLOSALNY WYBOR barchanów, pończoch, skarpetek, kołnierzy, mankietów a wszystko **tanio.**
NA SKŁADZIE: szyfony, szyrtyngi.
MATERYE WEŁNIANE h lki, fartuszki, suknie odpasowane (Roby), szale wełniane, chustki wełniane.
KALOSZE, PARASOLE, prześliczne Kilimy, Makaty.
Wszystko tanio, tani , tanio!
1% na Dar Grunwaldzki.
Z prowincyi proszę żądać wzory opłacone i darmo.

Wyroby ze złota i srebra
poleca najtaniej

JUBILER i ZŁOTNIK
Adam Batko we Lwowie
ul. Kopernika l. 5.

Zamówienia i naprawy uskutecznia w najkrótszym czasie.

Mechanoleczniczy Zakład Zanderowski

LECZNICA ORTOPEDYCZNO-CHIRURGICZNA ul. ZYBLIKIEWICZA 9. Telefon 796.

Dr. Merz. Dr. Staszewski. Dr. Wachtel.

Gimnastyka hygieniczna dla dzieci szkolnych w godzinach popołudniowych.

Gimnastyka lecznicza ortopedyczna od 9—1 i od 4—6.

Leczy się garby, skrzywienia kręgosłupa, choroby stawów i kości. stopy płaskie i t. d.

Szukamy narzeczonych

które przygotowują sobie wyprawy. Również wszelkie towary domowe nabywać można najlepiej z tkalni

Braci Krejcar, Dobruschka 6984, Czechy.

Prosimy zamówić na próbę 6 sztuk prześcieradeł jednostajnych, bli h pierwszej jakości, 150/200 cm. wielkość, **Kor. 13·50.**

Wzory barchanów i wszelkich towarów lnianych i bawełnianych darmo i opłatnie.

Skarbem

prawdziwym dla cierpiących na następstwa błędów młodości jest słynne dzieło ilustrowane

Dra Retau'a
Ochrona własna
Nowe wydanie polskie
Cena 2 Kor.

Niechaj czyta je każdy doznający na sobie skutków takich nałogów. Do nabycia przez **Verlags-Magazin Leipzig** Neumarkt 21 (w Lipsku, w Saksonii), jakoteż przez każdą księgarnię.

Dyplom honorowy na wystawie w Krakowie w r. 1901.

W. Sznajdrowicz

KUSNIERZ

Kraków, Rynek linia A-B Nr. 45, I. piętro
nad Apteką pod „Białym Orłem“.

poleca Szan. P. T. Publiczności swój obficie i jedynie w towary doborowe zaopatrzony SKŁAD i PRACOWNIĘ jakoto:

FUTRA DAMSKIE, ROTUNDY, ŻAKIETY, SAKA, PELERYNY, BOA, GARNITURY, FUTRA MĘSKIE, SPACEROWE i PODRÓŻNE, SWITKI DO POLOWANIA oraz WSZELKIE PRZYBORY w zakres ten wchodzące.

SERDACZKI, KOŻUSZKI DAMSKIE MĘSKIE I DZIECINNE.

Zamówienia i reperacye uskutecznia w jaknajkrótszym czasie **po cenach umiarkowanych.**

Ołowiane niebo zawisło nad ziemią

i ledwie się człowiek waży oddechać w tej wilgotnej, zimnej mgle. Czas listopadowy — zły to czas, powiada przysłowie. Teraz właśnie nigdy nie przychodzą wrażliwi ludzie zupełnie do zdrowia, a zdrowi z łatwością ulegają chorobie. Tu już trzebo przypomnieć, że Fava prawdziwe Sodeńskie pastylki mineralne, których dostanie wszędzie po K 1·25, teraz właśnie są niezbędne. Kto skłania się do przeziębienia, powinien ich używać w celach zapobiegawczych; podług przepisu powinien ich używać każdy, kto jest przeziębiony, jeśli chcecie się szybko pozbyć dolegliwości, a nie narazi się na poważne komplikacye. Dostać możnić we wszystkich aptekach drogueryach i w handlach wód mineralnych. Jeneralne zastępstwo na **Austro-Węgry: W. Th. Guntzert, Wiedeń,** IV/1 Grosse Neugasse 17.

Najlepsze, jest najtańsze!

SINGERA Maszyny do szycia okazały się najlepszemi.

ORIGINALNE SINGERA MASZYNA DO SZYCIA

SINGERA Maszyny do szycia są w rzeczywistości najtańsze.

Singer Co. Tow. Akc. Maszyn do szycia.

Kraków, ulica Szpitalna L. 40.

HERMAN STEIL
LWÓW, TEATRALNA 16.
Poleca swój
Pierwszorzędny Magazyn Mebli

stylowych do urządzeń kompletnych Sypialń, Salonów, Buduarów, Jadalń. Meble tapicerowane, żelazne i gięte.
Ulgi w spłatach.

ZAKŁAD POGRZEBOWY Pierwszorzędne dekoracye i urządzenie **Józefy Horakowej**

Odznaczony medalem i krzyżem
Kraków, ul. Mikołajska 14
filia: Zwierzyniecka l. 32

Telefon Nr. 248.

Pod kierownictwem Anton. Horaka, emerytow. c. k. oficyała policyi
Ceny nader umiarkowane.
Największe składy trumien, wieńców etc.



Evoe
um schön zu sein.



OLLA
Patent.
OLLA
OLLA

MAURYCY LEBLANC.

WYDRĄŻONA IGŁA.

Tajemnicze przygody Arseniusza Lupina.

9 (Ciąg dalszy).

IV.

SPOTKANIE.

W sześć tygodni potem, siedziałem pewnego wieczora sam w domu. Było to w przeddzień narodowego święta, 14 lipca. Przez dzień cały panowało straszne gorąco i na noc zapowiadała się burza. Otworzyłem okna swego balkonu, zaświeciłem lampę i siadłem wygodnie w fotelu, z zamiarem przejrzenia dzienników, których dnia tego jeszcze nie czytałem. Ciągle jeszcze mówiono o Arsenjuszu Lupinie. Od chwili zamachu, którego ofiarą stał się biedny Izydor Beautrelet, nie minął dzień jeden, by nie było mowy o sprawie w Ambrumesy. Poświęcano jej w dziennikach stałą rubrykę. Specyaliści i technicy zbrodni, powieściopisarze i dramaturdzy, ajenci i dawni naczelnicy policyi bezpieczeństwa z panem Lecocq na czele, wszyscy mieli swe własne opinie, które wygłaszali na szpaltach dzienników. Na czem polegała tajemnica? Znano ukrycie Arsenjusza Lupina, w którem on oddał ducha i co do tego nie było najmniejszej wątpliwości. Doktór Delattre, który ciągle uchylał się od wszelkich wyjaśnień urzędowych i publicznych, wyznał tem nie mniej swym znajomym — a ci postarali się to rozgłosić — że go istotnie zaprowadzono do jakiejś krypty do chorego, którego przedstawiono mu za Arsenjusza Lupina. Ponieważ w tej samej krypcie znaleziono zwłoki Stefana de Vaudreix, który, jak śledztwo twierdziło, był właśnie Lupinem, identyczność sławnego włamywacza z rannym nie podlegała już żadnym zaprzeczeniom. Lupin więc nie żył, zwłoki zaś panny de Saint-Veran poznano dzięki złotej branzolecie, którą zawsze nosiła na ręku. Dramat przeto był skończony.

W istocie jednak tak nie było. Nikt w to nie wierzył, Beautrelet bowiem utrzymywał co innego. W gruncie rzeczy nie wiadomo było, w czem ów dramat się nie skończył, lecz według słów młodego ucznia, tajemnica pozostawała niezgłębiona. Było coś, czego nie znano i nie wątpiono, że to coś, on tylko jeden może wytłómaczyć. Z niepokojem też domagano się biuletynów o jego zdrowiu i czytano je skwapliwie, jak tylko ukazały się w dziennikach. Wiadomości o powrocie jego do zdrowia, przyjmowane były z radością; rozczulano się nad troską jego starego ojca, który telegraficznie został wezwany do umierającego syna i podziwiano poświęcenie panny de Gesvres, która noce spędzała przy posłaniu rannego. Wreszcie rekonwalescencya zbliżyła się ku końcowi i wszyscy oczekiwali niecierpliwie dnia, w którym będzie on mógł wyznać tajemnicę, stosownie do obietnicy dawnej panu Filleulowi. Wtedy może nastąpią i jakie wyjaśnienia Harlingtona, tajemniczego wspólnika Lupina, którego ciągle trzymano w więzieniu i pisarza Bredoux, odznaczającego się tak szaloną śmiałością. Gdy Beautrelet wyzdrowieje, może wyjaśni się zniknięcie Ganimarda i porwanie Sherlocka Holmesa. W jaki sposób tych dwóch zamachów dokonano? Detektywi angielscy, jak również i ich francuscy koledzy, nie posiadali żadnych co do tego wskazówek. Od Zielonych Świąt stracono wszelkie wiadomości o Ganimardzie, który dotychczas przez sześć tygodni nie dał o sobie żadnego znaku życia. W poniedziałek Zielonych Świąt, Sherlock Holmes siadł po południu o czwartej godzinie do cabu, by udać się na dworzec. Zaledwie wsiadł do dorożki, a już chciał wyjść, przestrzeżony widocznie o niebezpieczeństwie, lecz dwóch jakichś mężczyzn wskoczyło z obu stron do pojazdu, przewróciło go i trzymając między sobą, a właściwie pod sobą, pomknęło naprzód. Działo się to wobec licznych świadków na ulicy, lecz cab znikł a w nim i sławny detektyw angielski. Może Beautrelet da wytłomaczenie i tego tajemniczego dokumentu, który dla złoczyńców miał taką wartość, iż dla odebrania go, Bredoux nie wahał się zdemaskować. Igła wydrążona stała się rebusem, nad którym wszyscy daremnie łamali sobie głowę, upatrując w nim coraz to nowe znaczenie, nadając mu coraz to nową treść. Nikt nic nie wiedział pewnego. Wkrótce jednak miano się dowiedzieć wszystkiego. Od kilku dni dzienniki zapowiadały przyjazd Beautreleta z Dieppe, gdzie się leczył. Walka zaczynała się na nowo, tym razem nieubłagana ze strony młodego ucznia, który jak najprędzej chciał powetować sobie poprzednie ubezwładnienie.

Jakoż w istocie nazwisko jego, wydrukowane wielkiemi literami, zwróciło moją uwagę. *Wielki Dziennik* podawał na czele kolumny następującą wiadomość:

„Pan Izydor Beautrelet przyrzekł nam, iż pierwszy nasz dziennik poinformuje o swych odkryciach. Jutro w środę, zanim nawet władze zostaną uwiadomione, *Wielki Dziennik* poda całkowitą prawdę o dramacie w Ambrumesy".

— Obiecuje?... I cóż o tem myślisz, mój drogi?

Podskoczyłem w fotelu. Przy mnie na krześle siedział ktoś, kogo nie znałem. Podniosłem się, szukając wzrokiem rewolweru, ponieważ jednak wydał mi się zupełnie spokojnym i bezbronnym, powstrzymałem się i zbliżyłem ku niemu.

Był to młody człowiek, o energicznym wyrazie twarzy, długich blond włosach i rozczesanej na boki jasnej brodzie. Poważny jego strój przypominał księdza anglikańskiego a w całej jego postawie było coś surowego, co nakazywało szacunek.

— Kto pan jest? — zapytałem.

Ponieważ nie odpowiadał, powtórzyłem:

— Kto pan jesteś? Jak pan tu wszedł? Czego pan chce?

Spojrzał na mnie i rzekł:

— Nie poznaje mnie pan?

— Nie... nie!

— Ach! to ciekawe... Niech pan przypomnie sobie... jeden z pańskich przyjaciół... przyjaciel specyalnego rodzaju... w każdym razie...

Schwyciłem go za rękę.

— Kłamie pan!... kłamie pan!... nie... nie jest pan tym, za kogo się pan podaje... to nie prawda...

— Dlaczego w takim razie pomyślał pan o nim właśnie, a nie o kim innym? — rzekł, śmiejąc się.

Ach! ten świeży i młody śmiech; którego szydercza ironia tak często bawiła mnie!... Zadrżałem. Czyż to możliwe?

— Nie, nie — zaprzeczyłem z pewnego rodzaju przestrachem — to nie może być...

— Nie może być, bym to był ja, ponieważ umarłem, a pan nie wierzy w duchy, czyż nie tak?

I znowu zaśmiał się.

— Czyż ja należę do tych, którzy tak łatwo umierają? Umrzeć od kuli, otrzymanej w plecy i to w dodatku z ręki młodej panny? Źle pan mnie sądzi. Czyż jabym się zgodził na podobny koniec!

— Więc to pan! — szepnąłem, jeszcze nie dowierzając... więc to pan!... Nigdybym nie przypuścił...

— Wobec tego — rzekł wesoło — jestem spokojny. Jeżeli jedyny człowiek, któremu ukazałem się w prawdziwej swej postaci, nie poznaje mnie dzisiaj, więc każdy, kto mnie takim zobaczy, nie rozpozna mego prawdziwego wyglądu... o ile tylko ja mam prawdziwy wygląd...

Odnajdywałem już jego głos, gdy przestał zmieniać brzmienie, odnajdywałem oczy i wyraz twarzy i całą postawę i jego samego w tem przebraniu, w jakiem się ukrył.

Arsenjusz Lupin — szepnąłem.

— Tak, Arsenjusz Lupin — zawołał, podnosząc się. Jedyny Arsenjusz Lupin w powrocie z królestwa cieniów, gdyż podobno wydałem ducha i zostałem złożony w krypcie. Arsenjusz Lupin, żyjący całem swem życiem, działający według swej woli, szczęśliwy i wolny i więcej niż kiedykolwiek pragnący cieszyć się niezależnością w tym świecie, gdzie znajdował dla siebie tylko względy i przywileje.

Teraz ja się roześmiałem.

— A więc to pan i weselszy teraz, niż gdy miałem ostatni raz przyjemność widzieć pana w roku zeszłym... Mogę panu powinszować.

Czyniłem tu aluzyę do ostatniej jego wizyty, która nastąpiła zaraz po słynnej awanturze z dyademem i po zerwaniu jego małżeństwa. Wówczas widziałem Arseniusza Lupina słabego, zaniedbanego, z zapłakanemi oczyma, pragnącego trochę sympatyi i litości...

— Nie wspominajmy — rzekł — przeszłość jest daleko.

— Tylko rok upłynął — zauważyłem.

— Już dziesięć lat upłynęło — poprawił mnie — lata Arseniusza Lupina liczą się w dziesięć razy więcej, niż innych ludzi.

Nie nalegałem i zmieniając rozmowę, zapytałem:

— Jak pan tu wszedł?

— Ach! Mój Boże, jak wszyscy, drzwiami. Nie widząc nikogo, przeszedłem przez salon i oto jestem.

— Tak, lecz klucz od drzwi?

— Niema zamków dla mnie, nie potrzebuję więc kluczy, pan o tem wie. Potrzebowałem pańskiego mieszkania i wszedłem.

— Do pańskich usług. Czy mam pana tu zostawić?

— Och! Nie, nie będzie pan zbyteczny. Mogę panu powiedzieć nawet, że wieczór będzie bardzo ciekawy.

— Oczekuje pan kogo?

— Tak, naznaczyłem tu spotkanie na dziesiątą godzinę...

Wyjął zegarek.

— Dziesiąta godzina. Jeżeli depesza doszła pod właściwy adres, osoba ta zaraz...

W przedpokoju rozległ się dzwonek.

— Czy nie powiedziałem?... Nie, niech pan się nie trudzi... pójdę sam.

Z kim on, do dyabła, może mieć spotkanie? Jakiej sceny dramatycznej lub śmiesznej będę świadkiem? Jeżeli Lupin sam uważa ją za ciekawą, sytuacya będzie niezwykłą. Po chwili powrócił, prowadząc przed sobą młodego człowieka, szczupłego, wysokiego i bardzo bladego. Nie mówiąc ani słowa, z pewną solennością ruchów, co mnie zaniepokoiło, Lupin zaświecił wszystkie lampy elektryczne. Pokój tonął w świetle. Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie, utkwili w sobie głęboko swe żywe oczy, jakby starali się przeniknąć wzajemnie.

Kto był ten nowoprzybyły? Gdy już zacząłem domyślać się dzięki podobieństwu z fotografią, którą podały dzienniki, Lupin zwrócił się do mnie.

— Drogi przyjacielu, przedstawiam panu pana Izydora Beautreleta.

A obróciwszy się zaraz do młodego człowieka, dodał:

— Winienem panu podziękować przedewszystkiem za to, iż na mą prośbę wstrzymał pan ogłoszenie swych wyjaśnień aż do tego spotkania, a następnie, iż pan raczył łaskawie udzielić mi tego spotkania.

Beautrelet uśmiechnął się.

— Pragnąłbym zwrócić pańską uwagę na to, iż moja łaskawość polega tylko na poddaniu się pańskim rozkazom. Groźba, zawarta w pańskim liście, była tem większą, iż zwracała się nie do mnie, lecz mierzyła w mego ojca.

— Robi się, co można — odparł Lupin ze śmiechem — i trzeba często używać środków, jakimi się rozporządza. Wiedziałem z doświadczenia, że pańskie własne bezpieczeństwo jest dla pana dość obojętne, oparł się pan bowiem argumentom pana Bredoux. Pozostawał pański ojciec... do którego pan jest istotnie przywiązany. Zagrałem więc na tej strunie...

— I oto jestem — dokończył Beautrelet.

Prosiłem, by siedli. Po krótkiej przerwie zaczął znowu Lupin z właściwą sobie lekką ironią:

— Jeżeli nie przyjmuje pan mych podziękowań, to może przynajmniej nie odrzuci pan mych przeprosin?

— Przeprosin! A za co?

— Za brutalność, jakiej się Bredoux dopuścił względem pana.

— Przyznam się, że czyn ten zdziwił mnie. Nie był to sposób postępowania Lupina. Cios nożem...

— Nie jestem też temu winien. Bredoux jest świeżym naszym rekrutem. Przyjaciele moi podczas sterowania naszemi sprawami, uznali za bardzo pożyteczne pozyskanie dla siebie pisarza sędziego śledczego, któremu powierzono tę sprawę.

— I pańscy przyjaciele nie pomylili się wcale.

— Istotnie; Bredoux, którego przydzielono do pańskiej osoby był dla nas bardzo cenny. Z powodu jednak swej gorliwości, właściwej każdemu nowicyuszowi, który chce się odznaczyć, posunął swą żarliwość za daleko i popsuł me plany, pozwalając sobie własnowolnie na zamach na pana.

— Och! Nie wielkie to było nieszczęście...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył J. K. Januszewski, Kraków.

Lubię słuchać wsteczne pierwsze,
Gdy się do mnie to odnosi,
Z trudem jednak je wymawiam,
Jeśli mnie kto o co prosi!
Drugie, także mi pochlebia
A nawet się wyższym czuję,
Jeśli mnie kto tym wyrazem
Dosyć często tytułuje.
Zresztą pierwsze, również drugie
Często mam w potocznej mowie,
Całość trunek wyśmienity,
Używają go panowie.

Logogryf.

Ułożył W. Rapacz, Żarki.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, by powstały odpowiednie wyrazy, których środkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko znakomitego malarza flamandzkiego.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Ptak z rodziny wróblowatych. 3. Imię męskie. 4. Zakonnik. 5. Boginie wdzięku i wesołości. 6. Pierwiastek chemiczny. 7. Powieść Gawalewicza. 8. Postać z Balladyny. 9. Rzeka w Rosyi. 10. Spójnik. 11. Spółgłoska.

Zagadka do przestawienia.

Ułożył K. J. Sokołowski, Śniatyn.

Z liter, zawartych w wyrazach: ac, Sicz, słowiki, krawiecki, Mińsk, utworzyć nazwiska trzech najznakomitszych poetów polskich.

Logogryf.

Ułożył M. Kościński, Żarki.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, by powstały odpowiednie wyrazy, których środkowe głoski, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko zmarłego niedawno w Krakowie polskiego filantropa.

□
— □ —
— — □ — —
— — □ — —
— □ —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— — — □ — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Namiestnik turecki. 3. Gatunek małp. 4. Bogini przeznaczenia. 5. Inaczej ochmistrzyni. 6. Wynalazca cewki indukcyjnej. 7. Ptak krajowy. 8. Rzeka w Bułgaryi. 9. Wierzchnie okrycie. 10. Lutnia małoruska. 11. Rodzaj zabezpieczenia. 12. Jeden z przydomków Zeusa.

Szarada.

Ułożył J. K. Januszewski, Kraków.

Gdy wstecznych pierwszych żądło mnie ukole,
Uczuwam wtedy drugie i trzecie;
Nie pragnę tego, lecz całość wolę,
Bo daje futra drogie, jak wiecie.

Kwadrat magiczny.

Ułożył A. B. Rzeszów.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery, aby utworzyły szereg wyrazów o podanem niżej znaczeniu. Pola oznaczone kwadratami dadzą w kierunku 1—2 imię męskie, 3—4 imię żeńskie.

□ — — — □
— □ — □ —
— — □ — —
— □ — □ —
□ — — — □

Znaczenie wyrazów: 1. Ptak. 2. Część toru kolejowego. 3. Dopływ Odry. 4 Styl. 5 Owoc.

Logogryf.

Ułożył M. Kościński, Żarki.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery, by powstały odpowiednie wyrazy, których początkowe głoski, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko polskiego rycerza, końcowe zaś z dołu do góry, przydomek, nadany jemu i jego rodzinie.

1 □ — — — — □ 4
□ — — □
□ — — — — □
□ — — □
□ □
□ — — — — □
3 □ — — — — □ 2

Znaczenie wyrazów: 1. Inaczej kołczan. 2. Twierdza dalmatyńska. 3. Rzeka w Abissynii. 4 Rodzaj pisma. 5. Dwie spółgłoski. 6. Kraina staro-grecka. 7. Rodzaj futra.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: *A. Nowaczyńskiego:* **Figliki sowizdrzalskie.**